

Amélie Nothomb

**Ani z widzenia, ani ze
słyszenia**

Przełożyła Joanna Polachowska

Myślę, że najskuteczniejszym sposobem poznania japońskiego jest nauczanie francuskiego. W supermarkecie powiesiłam ogłoszenie: „Prywatne lekcje francuskiego, przystępna cena”.

Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił telefon. Umówiliśmy się na następny dzień w kawiarni na Omote-Sando. Nie rozumiałam jego nazwiska ani on mojego. Odkładając słuchawkę, uświadomiłam sobie, że nie wiem, po czym się rozpoznamy – ja jego, a on mnie. A że nie wykazałam dość przytomności umysłu, żeby go zapytać o telefon, pewnie nic z tego nie wyjdzie. „Możliwe więc, że jeszcze raz zadzwoni”, pomyślałam.

Nie zadzwonił. Głos wydał mi się młody. Niewiele mi to pomoże. W 1989 roku w Tokio nie brakowało młodzieży. Co dopiero w kawiarni na bulwarze Omote-Sando dwudziestego szóstego stycznia o trzeciej po południu.

Nie byłam jedyną cudzoziemką, bynajmniej. Mimo to bez wahania do mnie podszedł.

– Jest pani nauczycielką francuskiego?

– Jak pan to odgadł?

Wzruszył ramionami. Sztywno usiadł i umilkł. Zrozumiałam, że to ja, jako nauczycielka, powinnam się nim zająć. Zadałam więc kilka pytań i dowiedziałam się, że ma dwadzieścia lat, na imię Rinri i studiuje filologię francuską na uniwersytecie. On dowiedział się, że mam dwadzieścia jeden lat, na imię Amélie i studiuje japonistykę. Nie zrozumiał, jakiej jestem narodowości. Byłam do tego przyzwyczajona.

– Od tej chwili nie wolno nam rozmawiać po angielsku – oświadczyłam.

I przesłałam na francuski, żeby zorientować się w jego poziomie znajomości języka; okazał się żenujący. Najgorzej było z wymową; gdybym nie wiedziała, że Rinri mówi do mnie po francusku, pomyślałabym, że mam do czynienia z bardzo słabym początkującym w nauce chińskiego. Jego słownictwo kulało, składnia fatalnie powielala składnię angielską, na której niedorzecznie zdawał się wzorować. A przecież był na trzecim roku romanistyki. Zyskałam kolejne potwierdzenie całkowitego fiaska nauczania języków obcych w Japonii. Do tego stopnia, że nie można tego było nawet nazwać specyfiką wyspiarską.

Młodzian chyba zdał sobie sprawę z sytuacji, bo niezwłocznie zaczął się usprawiedliwiać, po czym zamilkł. Nie mogąc się pogodzić z porażką, próbowałam go nakłonić, żeby się znowu odezwał. Nic z tego. Siedział z zamkniętymi ustami, jakby chciał ukryć brzydkie zęby. Znaleźliśmy się w impasie.

Zacząłam więc mówić do niego po japońsku. Nie używałam japońskiego od piątego roku życia i tych sześć dni, jakie po szesnastoletniej nieobecności spędziłam teraz w kraju Wschodzącego Słońca nie wystarczyło, bo gdzieżby, do reaktywowania moich dziecięcych wspomnień tego języka. Zaserwowałam mu więc jakiś infantylny, niedorzeczny bełkot, w którym była mowa o policjancie, o psie i o kwitnących drzewach wiśni.

Chiopak słuchał mnie w oszołomieniu. W końcu się roześmiał i zapytał, czy aby nie uczyło mnie japońskiego pięcioletnie dziecko.

– Tak – odpowiedziałam. – Ja jestem tym dzieckiem.

I opowiedziałam mu o moich przeżyciach. Mówiłam powoli, po francusku; skutkiem jakiegoś osobliwego wzruszenia wyczuwałam, że mnie rozumiał.

Uwolniłam go od kompleksów.

Mówiąc gorzej niż źle po francusku, stwierdził, że zna region, w którym się urodziłam i w którym spędziłam pierwsze pięć lat życia: Kansai.

On sam pochodził z Tokio, gdzie jego ojciec prowadził znaną szkołę jubilerską. Wyczerpany, urwał i jednym haustem wypił kawę.

Wyjaśnienia te zdawały się kosztować go tyle wysiłku co przeprawa przez rwącą rzekę po kamieniach leżących co pięć metrów. Z rozbawieniem patrzyłam, jak dyszy po tym wyczynie.

Trzeba przyznać, że francuski jest podstępny. Nie chciałabym być na miejscu mojego ucznia. Nauka mówienia w moim języku musi być równie trudna co nauka pisania w jego języku.

Zapytałam, co najbardziej w życiu lubi. Bardzo długo się zastanawiał. Byłam ciekawa, czy jego namysł jest natury egzystencjalnej czy lingwistycznej. Po tak intensywnych rozważaniach jego odpowiedź mnie zdumiała:

– Grać.

Nie sposób było stwierdzić, czy chodzi o trudność natury leksykalnej czy filozoficznej. Drążyłam dalej.

– Grać w co?

Wzruszył ramionami.

– Grać. Jego postawa wynikała bądź z cudownej nonszalancji, bądź z lenistwa w opanowaniu mojego niesamowitego języka.

W obu przypadkach uważałam, że chłopak dobrze wybrnął, i rozwijałam temat dalej w tym duchu. Oświadczyłam, że ma rację, życie jest grą; ci, którzy uważają, że gra to tylko płochość,

nic nie rozumieją, i tak dalej.

Słuchał, jakbym mu opowiadała jakieś niesamowite historie. Plusem rozmów z cudzoziemcami jest to, że ich bardziej lub mniej speszzone miny zawsze można złożyć na karb różnic kulturowych.

Potem on zapytał, co najbardziej lubię. Rozdzielając wyraźnie sylaby, odpowiedziałam, że lubię słuchać szumu deszczu, chodzić po górach, czytać, pisać, słuchać muzyki. Rinri przerwał mi i powiedział:

– Grać.

Dlaczego to powtórzył? Może chciał poznać moją opinię w tej kwestii? Ciągnęłam więc:

– Owszem, lubię grać, zwłaszcza w karty. , Teraz on wyglądał na zdeorientowanego. Na czystej stronie zeszytu narysowałam karty: asa, dwójkę, pika, karo.

Przerwał mi: Tak, oczywiście wie, co to są karty. Poczułam się okropnie głupio z tą swoją tanią dydaktyką. Żeby i z tego wybrnąć, zaczęłam mówić o różnych głupstwach: Co jada...? Odrzekł:

– Jjk.

Wydawało mi się, że znam japońską kuchnię, ale o czymś takim nigdy nie słyszałam. Poprosiłam, żeby mi to wyjaśnił. Powtórzył krótko:

– Jjk.

Tak, oczywiście, ale co to takiego?

Zdumiony wziął ode mnie zeszyt i nakreślił kształt jajka. Po kilku sekundach składania wszystkiego w głowie w jedną całość, wykrzyknęłam: – Jajko!!!

Otworzył szeroko oczy, jakby chciał powiedzieć: „No właśnie!?”.

– Wymawia się jajko – powiedziałam – JAJKO.

– Jjk.

– Nie, niech pan spojrzy na moje usta. Trzeba je szerzej otworzyć: jajko.

Rozdziawił usta i powiedział:

– Jjko.

Zastanowiłam się, czy można to uznać za postęp. Tak, bo w końcu to jakaś odmiana. Rozwijał się, jeśli nie we właściwym kierunku, to przynajmniej w nowym.

– Teraz lepiej – orzekłam z optymizmem. Uśmiechnął się bez przekonania, zadowolony z mojej uprzejmości. Takiego nauczyciela potrzebował. Zapytał o koszt lekcji.

– Wedle uznania.

Odpowiedź ta skrywała moją kompletną niewiedzę w kwestii obowiązujących stawek, nawet w przybliżeniu. Podświadomie musiałam zachować się jak prawdziwa Japonka, gdyż Rinri wyjął z kieszeni ładną kopertę z papieru ryżowego, do której zawczasu włożył pieniądze. Skrępowana, broniłam się:

– Nie tym razem. To nie była prawdziwa lekcja. Ledwie prezentacja.

Rinri położył przede mną kopertę, poszedł zapłacić za nasze kawy, wrócił do stolika, żeby umówić się ze mną na najbliższy poniedziałek, nawet nie spojrzął na pieniądze, które próbowałam mu zwrócić, pożegnał się i wyszedł.

Przełknawszy wstyd, otworzyłam kopertę i znalazłam w niej sześć tysięcy jenów. Brzmi to bajecznie, kiedy człowiek jest opłacany w słabej walucie, bo kwoty są zawsze astronomiczne. Pamiętając o „Jjk” skorygowanym do „jjko”, uważałam, że nie zasłużyłam na sześć tysięcy jenów.

Porównałam jednak w duchu bogactwo Japonii z bogactwem Belgii i stwierdziłam, że transakcja ta jest ledwie kroplą w oceanie tak wielkiej dysproporcji. W supermarkecie za sześć tysięcy jenów mogłam kupić sześć żółtych jabłek. Adam był to winien Ewie. Uspokoiwszy sumienie, powędrowałam bulwarem Omote-Sando.

Trzydziesty stycznia 1989 roku. Dziesiąty dzień mojego pobytu w Japonii w dorosłym życiu. Każdego ranka od dnia, jak to nazywałam, mojego powrotu, podnosząc żaluzje, odkrywałam za oknem doskonale błękitne niebo. Jak nie zachwycać się tokijską zimą, kiedy przez długie lata podnosiło się żaluzje na ciężką jak ołów belgijską szarzynę za oknem?

Spotkałam się z moim uczniem w kawiarni na Omote-Sando. Głównym tematem lekcji była aktualna pogoda. Dobry pomysł, bo klimat, idealny temat dla osób niemających sobie nic do powiedzenia, jest w Japonii głównym i obowiązkowym tematem konwersacji.

Spotkanie się z kimś i nieomówienie z nim sytuacji meteorologicznej jest równoznaczne z nieznaną umiejętnością *savoir-vivre*'u.

Odniosłam wrażenie, że Rinri od naszego ostatniego spotkania poczynił pewne postępy. Trudno było to przypisać wyłącznie moim naukom; musiał popracować w domu. Z pewnością zmotywowała go perspektywa rozmowy z osobą francuskojęzyczną.

Opowiadał mi akurat o surowości lata, kiedy zobaczyłam, że unosi wzrok na jakiegoś chłopaka, który właśnie wszedł. Skinęli sobie głowami.

– Kto to jest? – zapytałam.

– Hara, kolega z uczelni.

Młody człowiek podszedł się przywitać. Rinri dokonał prezentacji po angielsku.

Zaprotestowałam:

– Po francusku, proszę. Pana kolega też studiuje ten język.

Mój uczeń, nieco stropiony tą nagłą zmianą tonu, skupił się, po czym z wysiłkiem wydukał:

– Hara, przedstawiam ci Amélie, moją kochankę.

Z wielkim trudem stłumiłam wesołość, która by go zniechęciła do tak chwalebnych starań.

Przy koleżdze nie będę go poprawiała; oznaczałoby to dla niego utratę twarzy.

Był to dzień zbiegów okoliczności: zauważyłam, że do kawiarni wchodzi Christine, sympatyczna młoda Belgijka z ambasady, która pomogła mi wypełnić różne papiery.

Zawołałam ją.

Teraz moja kolej dokonania prezentacji, pomyślałam. Ale Rinri z rozpędu, pragnąc zapewne powtórzyć ćwiczenie, zwrócił się do Christine:

– Przedstawiam pani mojego przyjaciela Harę i moją kochankę Amélie.

Christine obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem. Udałam obojętność i przedstawiłam ją młodemu Japończykowi. Z powodu tego nieporozumienia i w obawie, by nie wypaść w tym związku na dominę, nie śmiałam udzielać dalszych wskazówek mojemu uczniowi. Moim jedynym celem było teraz pozostanie przy francuskim jako języku komunikacji.

– Jesteście obie Belgią? – zapytał Hara.

– Tak – potwierdziła z uśmiechem Christine. – Mówicie świetnie po francusku.

– To dzięki Amélie, mojej...

W tym momencie weszłam Rinriemu w słowo, oznajmiając:

– Hara i Rinri studiują romanistykę na uniwersytecie.

– Tak, ale nic tak nie pomaga w nauce, jak prywatne lekcje, prawda?

Postawa Christine mnie peszyła, ale nie byliśmy z sobą na tyle blisko, bym musiała jej wyjaśniać, jak wygląda prawda.

– Gdzie pan poznał Amélie? – zapytała Rinriego.

– W supermarkecie Azabu.

– Niesamowite!

Najgorsze miałam za sobą; mógł przecież powiedzieć, że z ogłoszenia.

Podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie od nowo przybyłych. Christine zerknęła na zegarek i oświadczyła, że ma za chwilę spotkanie służbowe. Odchodząc, rzuciła do mnie po flamandzku:

– Przystojny chłopak, cieszę się, że go spotkałaś.

Po jej wyjściu Hara zapytał, czy mówiła o Belgii. By uniknąć długich wyjaśnień, potwierdziłam.

– Mówicie świetnie po francusku – stwierdził z podziwem Rinri.

„Kolejne nieporozumienie”, pomyślałam przygnębiona.

Nie miałam już siły, więc poprosiłam Harę i Rinriego, żeby porozmawiali z sobą po francusku, poprzestając tylko na poprawianiu najbardziej rażących błędów. Zdziwiło mnie, o czym rozmawiali:

– Jeśli wpadniesz do mnie w sobotę, przynieś sos z Hiroszimy.

– Czy Jasu z nami zagra?

– Nie, będzie grał u Minami.

Byłam ciekawa, w co takiego grali. Zapytałam o to Harę, z którego odpowiedzi dowiedziałam się nie więcej niż od mojego ucznia na poprzedniej lekcji.

– W sobotę niech pani też przyjdzie do mnie pograć.

Byłam pewna, że to zaproszenie grzecznościowe. Niemniej jednak miałam wielką ochotę je przyjąć. W obawie, że moje przyjsie może być nie na rękę mojemu uczniowi, wybrałam teren:

– Nie znam Tokio, boję się, że nie trafię.

– Przyjadę po panią – zaproponował Rinri.

Uspokojona, gorąco podziękowałam Harze. Kiedy Rinri wręczył mi kopertę z zapłatą za lekcję, poczułam jeszcze większe skrępowanie niż poprzednio. Uspokoiliam jednak sumienie, postanawiając przeznaczyć te pieniądze na zakup prezentu dla Hary.

W sobotę po południu pod dom, w którym mieszkałam, podjechał wspaniały mercedes, biały i tak czysty, że aż lśnił w słońcu. Kiedy podeszłam, drzwi automatycznie się otworzyły. Kierowcą był mój uczeń.

W czasie, kiedy jechaliśmy ulicami Tokio, ja zastanawiałam się, czy za zawodem jego ojca nie kryje się aby przynależność do Yakuzy; był to jej typowy samochód. Zachowałam te pytania dla siebie. Rinri prowadził w milczeniu, skupiony na gęstym ruchu.

Kątem oka obserwowałam jego profil, wspominając flamandzką uwagę Christine. Nigdy bym nie pomyślała, że jest przystojny, gdyby nie opinia mojej rodaczki. Zresztą nadal nie byłam o tym przekonana. Ale w sztywności jego wygolonego karku i w absolutnej nieruchomości jego rysów wyczuwało się pewną dystynkcję, która robiła wrażenie.

To było nasze trzecie spotkanie. Za każdym razem przychodził ubrany tak samo: w niebieskie dżinsy, biały podkoszulek i czarną zamszową bluzę. Na nogach trampki kosmonauty. Urzekła mnie jego szczupłość.

Jakiś samochód bezczelnie zjechał mu drogę. Kierowca, jakby nie dość mu było złamania przepisów, wysiadł i z wraskiem zaczął wymyślać Rinriemu. Mój uczeń z kamienną twarzą uprzejmie go przeprosił. Pieniacz ruszył.

- Ale to on zawinił! – zawołałam.
- Tak – odparł Rinri z całkowitym spokojem.
- To czemu go pan przeprosił?
- Nie znam tego słowa po francusku.
- Niech pan powie po japońsku.
- *Kankokujin.*

Koreańczyk. No tak. Uśmiechnęłam się w duchu na myśl o nacechowanym kurtuazją fatalizmie mojego ucznia.

Hara zajmował maleńkie mieszkanie. Rinri wręczył mi ogromny karton sosu z Hiroshimy. Poczulałam się idiotycznie z moją zgrzewką belgijskiego piwa, która jednak została powitana z nieklamana ciekawością.

Na miejscu znajdowali się już niejaki Masa, który szatkował kapustę, oraz młoda Amerykanka imieniem Amy. Jej obecność zmuszała nas do rozmowy po angielsku, co mi ją od razu obrzydziło. A zniechęciłam ją jeszcze bardziej, kiedy się zorientowałam, że została

zaproszona w nadziei, że w jej towarzystwie poczuje się swobodniej. Tak jakbym miała znosić męki, będąc jedyną mieszkanką Zachodu.

Amy uznała za właściwe opowiedzenie nam, jak okropnie cierpi na obczyźnie. Najbardziej jej brakuje *peanut butter*, oświadczyła najzupełniej poważnie. Każde jej zdanie zaczynało się od *In Portland...* Chłopcy uprzejmie jej słuchali, mimo że najwyraźniej nie mieli pojęcia, na którym wybrzeżu Stanów leży ta dziura, i nic ich to nie obchodziło. Ja natomiast nie znosiłam prymitywnego antyamerykanizmu, pomyślałam jednak, że wzbronienie sobie niechęci do tej dziewczyny tylko z tego powodu byłoby obrzydliwą formą prymitywnego antyamerykanizmu; dałam więc swobodny upust instynktownej niechęci do niej.

Rinri obierał imbir, Hara czyścił krewetki, a Masa skończył wreszcie szatkowanie kapusty. Nagle, skojarzywszy owe składniki z sosem z Hiroszimy, przerwałam Amy w połowie jej opowieść o Portland i wykrzyknęłam:

– Będziemy jedli *okonomiyakil* – Zna pani *okonomiyaki*? – zdziwił się pan domu.

– To było moje ulubione danie, kiedy mieszkałam w Kansai!

– Mieszkała pani w Kansai? – zapytał Hara.

Rinri nic mu nie powiedział. Czy zrozumiał bodaj słowo z mojej opowieści podczas pierwszej lekcji? Błogosławiąc nagle w duchu obecność Amy, zmuszającą nas do mówienia po angielsku, głosem drżącym ze wzruszenia opowiedziałam im o moich pierwszych latach w Japonii.

– Czy ma pani japońskie obywatelstwo? – zapytał Masa.

– Nie. Do tego nie wystarczy się tu urodzić. Żadnego innego obywatelstwa nie jest tak trudno uzyskać jak japońskiego.

– Może pani zostać Amerykanką – wyskoczyła Amy.

Żeby nie powiedzieć czegoś niegrzecznego, szybko zmieniłam temat:

– Chętnie wam pomogę. Gdzie są jajka?

– Ależ, Amélie, jest pani moim gościem – powiedział Hara – proszę usiąść i grać.

Rozejrzałam się dookoła, daremnie szukając jakiejś gry. Amy dostrzegła moje zagubienie i roześmiała się.

– *Asobu* – powiedziała.

– Tak, wiem, *asobu, to play* – odparłam.

– Nie, nie wie pani. Czasownik *asobu* nie znaczy tego samego co *to play*. Po japońsku mówi

się *asobu* na czas wolny od pracy.

Więc o to chodziło. Byłam wściekła, że dowiaduję się tego od jakiejś portlandki, i żeby ją usadzić, zaczęłam się wymądrzać:

– *I see*. Czyli jest to odpowiednik pojęcia *otium* w łacinie.

– W łacinie? – powtórzyła przerażona Amy.

Zachwycona jej reakcją, wdałam się w porównywanie *otium* ze starożytną greką, nie oszczędzając jej żadnej etymologii indoeuropejskiej. Niech się portlandka dowie, co to znaczy filolog.

Kiedy jej już wystarczająco utarłam nosa, zamilkłam i zaczęłam „grać” w stylu Wschodzącego Słońca, kontemplując przygotowywanie ciasta naleśnikowego, a potem smażenie *okonomiyaki*. Zapach skwierczących pospołu kapusty, krewetek i imbiru przeniósł mnie do przeszłości sprzed szesnastu laty, do czasów, kiedy moja łagodna niania Nishio-san przyrządzała mi ten sam przysmak, którego nigdy już potem nie jadłam.

Mieszkanie Hary było tak małe, że nie mógł mi umknąć żaden szczegół. Rinri otworzył po perforowanej Unii kartonowe pudełko z sosem z Hiroszimy i postawił je na środku niskiego stolika. *What's that?* – jęknęła Amy. Sięgnęłam po karton, tęsknie wciągnęłam zapach gorzkiej śliwki, octu, sake i soi z miną osoby narkotyzującej się tetrapakiem.

Kiedy znalazł się wreszcie przede mną talerz z faszerowanym plackiem, tracąc cały cywilizacyjny polor i nie czekając na innych, polałam danie sosem i rzuciłam się na jedzenie.

W żadnej na świecie japońskiej restauracji nie znajdzie się tej zwyczajnej i tak niesamowicie wzruszającej kuchni, niewyszukanej, a zarazem subtelnej, prostej, a zarazem wyrafinowanej. Znów miałam pięć lat, nie wypuściłam jeszcze z rąk spódnic Nishio-san i z rozdartym sercem oraz ekstatycznie rozszerzonymi nozdrzami piszczałam z zachwytu. Z błędnym spojrzeniem pochłaniałam mój *okonomiyaki*, wydając pomruki rozkoszy.

Dopiero kiedy wszystko spałaszowałam, ujrzałam, że tamci przyglądają mi się z uprzejmym skrepowaniem.

– Co kraj, to obyczaj – wybełkotałam. – Odkryliście właśnie, jak jadają Belgowie.

– *Oh, my God!* – wykrzyknęła Amy.

Akurat. Ta, obojętnie, co by jadła, zawsze i tak wyglądała, jakby żuła gumę.

Znacznie bardziej spodobała mi się reakcja pana domu: pospieszył zrobić mi następny placek.

Piliśmy piwo Kirin. Przyniosłam Chimay, które dziwnie dobrze pasowało do sosu z Hiroszimy. Azjatyckie napitki piwne są idealnymi piwami stołowymi.

Nie wiem, o czym rozmawiali pozostali biesiadnicy. Za bardzo mnie pochłaniało to, co jadłam. Przeżywałam tak zawrotnie głęboką przygodę pamięci, że trudno było oczekiwać, iż podzielę się nią z innymi.

Poprzez tę emocjonalną mgłę przypominam sobie, że potem Amy zaproponowała *Pictionnary*, i zagraliśmy w nią w zachodnim znaczeniu tego słowa. Szybko pożałowała swojego pomysłu; Japończycy są o wiele lepsi w szkicowaniu konceptu. Partia rozgrywała się między trójką chłopaków; ja trawiłam w ekstazie, a Amerykanka przegrywała, pokrzykując ze złości. Błogosławiła moją obecność, bo grałam jeszcze gorzej niż ona. Za każdym razem, kiedy wypadała moja kolej, rysowałam na kartce coś, co przypominało frytki.

– *Come on!* – złościła się, a trzech chłopcy z coraz większym trudem ukrywali wesołość.

To był cudowny wieczór, a kiedy się skończył, Rinri odwiózł mnie do domu.

Na następnej lekcji zauważyłam zmianę w jego zachowaniu; zwracał się do mnie nie tyle jak do nauczycielki, ile jak do przyjaciółki. Bardzo mnie to cieszyło, bo umożliwiała mu robienie postępów; nie miał już takich oporów z mówieniem. To jednak sprawiło, że krępujące stało się dla mnie przyjmowanie od niego koperty.

W chwili, kiedy się rozstawaliśmy, Rinri zapytał, dlaczego umawiam się z nim zawsze w tej samej kawiarni na Omote-Sando.

– Jestem w Tokio od niecałych trzech tygodni i nie znam żadnej innej. Jeśli zna pan jakieś dobre adresy, niech pan bez wahania proponuje.

Na to odrzekł, że przyjedzie po mnie samochodem.

Tymczasem rozpoczęły się kursy biznesowego japońskiego i wyładowałam na wykładach z Singapurczykami, Niemcami, Kanadyjczykami i Koreańczykami, którzy wierzyli, że nauczenie się tego języka jest kluczem do sukcesu. Był nawet jeden Włoch, ale szybko zrezygnował, absolutnie niezdolny wyzbyć się swego tonicznego akcentu.

W porównaniu z tym błąd popełniany przez Niemców, którzy z uporem wymawiali *v* zamiast *w*, wydawał się błahostką. Byłam, jak zawsze, jedyną Belgijką.

W weekend po raz pierwszy udało mi się wyjechać z Tokio. Pociąg zawiózł mnie do małego miasteczka Kamakura, o godzinę drogi od stolicy. Ponowne odnalezienie dawnej, milczącej Japonii wzruszyło mnie do łez. Pod tym niebem barwy czystego błękitu dachy pokryte podwójnie wygiętymi dachówkami i nieruchome powietrze mówiły, że na mnie czekały, że za mną tęskniły, że wraz z moim powrotem ład świata został znowu przywrócony, a moje panowanie potrwa dziesięć tysięcy lat.

Zawsze byłam megalomańską romantyczką.

W poniedziałek po południu otworzyły się przede mną drzwi białego mercedesa.

– Dokąd jedziemy?

– Do mnie – odparł Rinri.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Do niego? Chyba zwariował. Mógł mnie uprzedzić. Dziwne maniery jak na tak dobrze wychowanego Japończyka!

Możliwe, że moje przecucia co do jego członkostwa w Yakuzie były słuszne. Przyjrzałam się jego nadgarstkom; a nuż spod rękawów bluzy wystaje jakiś tatuaż? Znakiem jakiej

wiernopoddańczej przysięgi mógł być ten starannie wygolony kark?

Po długiej jeździe znaleźliśmy się w wytwornej dzielnicy Den-en-Chofu, siedzibie tokijskich bogaczy. Rozpoznawszy samochód, drzwi garażu automatycznie się uniosły. Dom zbudowany był w stylu odzwierciedlającym wyobrazenie japońskich lat sześćdziesiątych o szczycie nowoczesności. Otaczał go dwumetrowej szerokości ogród; zielona fosa okalająca kwadratowy zamek z betonu.

Jego rodzice przywitali mnie, tytułując per Sensei, co wydało mi się niesamowicie śmieszne. Pan domu wyglądał jak współczesne dzieło sztuki, piękne i niezrozumiałe, i obwieszony platyną. Pani domu, znacznie mniej nie – zwykła, była ubrana w elegancki i budzący respekt kostium. Poczęstowali mnie herbatą, po czym szybko się usunęli, by nie zaszkodzić jakości moich nauk.

Jak stanąć na wysokości zadania w takiej sytuacji? Nie bardzo sobie wyobrażałam, że każę mu w tej międzyplanetarnej bazie powtarzać słowo Jajko”. Dlaczego mnie tu przywiózł? Czy świadom był wrażenia, jakie zrobiło na mnie to miejsce? Najwyraźniej nie.

– Od zawsze pan mieszkał w tym domu? – zapytałam.

– Tak.

– Jest wspaniały.

– Nie.

Nie wypadało mu odpowiedzieć inaczej. Jednak nie była to do końca nieprawda. Dom mimo wszystko był prosty; w każdym innym kraju tak bogata rodzina zajmowałaby pałac. Ale w porównaniu z poziomem tokijskiego życia, na przykład z mieszkaniem jego przyjaciela Hary, willa taka jak ta oszałamiała swoimi rozmiarami, swoją okazałością i spokojem.

Prowadziłam lekcję, jak umiałam, starając się nie wspominać już więcej o domu ani o jego rodzicach. Mimo to nie przestawałam czuć się nieswojo. Miałam wrażenie, że ktoś mnie szpieguje. Mogłam to przypisać wyłącznie własnej paranoi. Pan i pani domu mieli zbyt wiele klasy, żeby oddawać się takim rozrywkom.

Powoli zaczęło mi się wydawać, że Rinri, popatrujący wkoło nieufnym spojrzeniem, podziela moje podejrzenia. Czyżby w tym betonowym zamczysku straszyl jakiś duch? Nagle gestem ręki przerwał mi i ruszył na palcach w stronę klatki schodowej.

Usłyszałam jego okrzyk i ujrzałam, niczym dwa chochliki wyskakujące z pudełka, zaśmiewającą się parę staruszków; mój widok spotęgował ich wesołość.

– Sensei, przedstawiam pani moją babkę i mojego dziadka.

– Sensei! Sensei! – zapiszczeni staruszkowie, zdający się uważać, że taka ze mnie nauczycielka jak z ich wnuka noblista.

– Dzień dobry pani, dzień dobry panu...

Każde moje słowo, każdy mój gest wywoływały w nich paroksyzmy śmiechu. Wykrzywiali twarze, klepali wnuczka, a potem mnie po plecach, pili herbatę z mojej filiżanki. Staruszka dotknęła mojego czoła i wykrzyknęła: „Ale to białe!”, skręcając się ze śmiechu, mąż jej zawtórował.

Rinri patrzył na nich z uśmiechem, nawet na chwilę nie tracąc zimnej krwi. Pomyślałam, że pewnie są dziecienniaki i że ci ludzie są godni podziwu, że trzymają w domu takie stuknięte skamienieli. Po trwającej dziesięć minut przerwie mój uczeń skłonił się przodkom i poprosił, żeby zechcieli wrócić do siebie do mieszkania, gdyż po takim wysiłku z pewnością są zmęczeni.

Koszmarni staruszkowie, do syta wyszydziwszy moją twarz, w końcu go usłuchali.

Choć z tego, co mówili, nie wszystko zrozumiałam, ogólny sens jednak zdołałam wychwycić. Kiedy wyszli, popatrzyłam na Rinriego z wielkimi znakami zapytania w oczach. On jednak milczał.

– Pana dziadkowie są... dość specyficzni – zauważyłam.

– Są starzy – odparł powściągliwie.

– Czy coś im się przydarzyło? – nie dawałam za wygraną.

– Zestarzeli się.

Nie tędy droga. Konieczna była zmiana tematu. Zauważywszy wieżę Bang Olufsena, zapytałam Rinriego, jakiej słucha muzyki. Opowiedział mi o Ryuichi Sakamoto. I tak krok po kroku dobieliśmy do końca lekcji, która wyczerpała mnie jak żadna inna. Przyjmując kopertę, pomyślałam, że nie kradnę tych pieniędzy. Rinri odwiózł mnie do domu, przez całą drogę milcząc jak zaklęty.

Trochę popytałam i dowiedziałam się, że w Japonii takie zjawisko jest powszechną praktyką. W tym kraju, w którym ludzie przez całe życie muszą się twardo trzymać, na progu starości często pękają i pozwalają sobie na najbardziej dziwaczne zachowania, co nie przeszkadza ich rodzinom, zgodnie z tradycją, się nimi opiekować.

Uważałam to za heroizm. Ale w nocy dręczyły mnie koszmarnie sny, w których przodkowie Rinriego ciągnęli mnie za włosy i szczypali w policzki, pękając ze śmiechu.

Kiedy następnym razem nieskazitelnie biały mercedes ofiarował mi swą gościnność, zwlekałam z wejściem.

– Jedziemy do pana?

– Tak.

– Nie boi się pan, że będziemy przeszkadzali pańskim rodzicom, a zwłaszcza dziadkom?

– Nie. Wyjechali w podróż.

Wsiadłam.

Prowadził w milczeniu. Podobało mi się, że można się do tego stopnia obywać bez rozmowy, nie stwarzając przy tym cienia krępującej sytuacji. Mogłam dzięki temu swobodnie obserwować miasto i od czasu do czasu niewiarygodnie kamienny profil mojego ucznia.

W domu podał mi herbatę, ale sam wziął colę – detal, który mnie rozbawił, bo nawet nie zapytał, czego się napiję. Było oczywiste, że cudzoziemce sprawi przyjemność japońskie wyrafinowanie, podczas gdy jemu cała ta japońszczyzna już się przejadła.

– Dokąd wyjechała pana rodzina?

– Do Nagoya. To rodzinne miasto moich dziadków.

– Jeździ pan tam czasami?

– Nie, to nudne miejsce.

Podobały mi się jego bezceremonialne odpowiedzi. Dowiedziałam się, że chodziło o rodziców Madame. Dziadkowie ze strony ojca już nie żyli. Ulżyło mi, kiedy to usłyszałam; zatem w tej dziedzinie istniały tylko dwa potwory.

Powodowana ciekawością, zebrałam się na odwagę i poprosiłam, żeby mi pokazał dom. Nie zachnął się, tylko powiódł mnie labiryntem pokoi i schodów. W kuchni i łazience panowała pełna automatyzacja. Pokoje były dość proste, zwłaszcza jego pokój: surowe łóżko, obok łóżka biblioteka. Popatrzyłam na tytuły: dzieła zebrane jego ulubionego pisarza Kaiko Tekeshi, a także Stendhal i Sartre. Wiedziałam, że ten ostatni jest uwielbiany przez Japończyków, którzy uważają go za niesłychanie egzotycznego; odczuwanie mdłości na widok kamyka wygładzonego przez morskie fale było do tego stopnia sprzeczne z japońską mentalnością, że autor ten budził fascynację, jaką może wzbudzać tylko to, co nieznanne.

Obecność Stendhala bardziej mnie uradowała i zaskoczyła. Powiedziałam Rinriemu, że to

jeden z moich idoli. Rozpromienił się. Nie widziałam go jeszcze tak uśmiechniętego.

– Jest cudowny – powiedział.

Miał rację.

– Dużo pan czyta.

– Mam wrażenie, że spędziłem w tym łóżku na czytaniu całe życie.

Ze wzruszeniem popatrzyłam na futon, wyobrażając sobie mojego ucznia leżącego na nim długie lata z książką w ręku.

– Zrobił pan wielkie postępy we francuskim – zauważyłam.

Zamiast wyjaśnienia, wrzucił ramionami i wskazał otwartą dłońią moją osobę.

– To nie moja zasługa. To dzięki pani.

W drodze powrotnej Rinri zauważył na muzeum jakiś plakat, dla mnie nieczytelny.

– Chce pani zobaczyć tę wystawę? – zapytał.

Czy chciałam pójść na wystawę, nie wiedząc, czemu jest poświęcona? No pewnie.

– Przyjadę po panią jutro po południu – powiedział.

Podobała mi się myśl, że nie wiem, czy obejrzę malarstwo, czy rzeźbę, czy retrospektywę różnych różności. Zawsze się tak powinno chodzić na wystawy, na chybił trafił, nie mając pojęcia, co się zobaczy. Ktoś chce nam coś pokazać; tylko to się liczy.

Następnego wieczoru nadal nie mogłam zrozumieć tematu ekspozycji. Były tam obrazy, prawdopodobnie nowoczesne, jakkolwiek nie byłam pewna; płaskorzeźby, o których nie potrafiłabym powiedzieć słowa. Szybko zorientowałam się, że prawdziwy spektakl odbywa się na sali. Tym, co mnie najbardziej fascynowało, było zachowanie tokijskich widzów, którzy z respektem przystawali przed każdym dziełem, a następnie długo i w skupieniu się w niego wpatrywali.

Rinri robił tak samo. W końcu go zapytałam:

– Podoba się panu?

– Nie wiem.

– Interesuje to pana?

– Nie bardzo.

Roześmiałam się. Ludzie popatrzyli na mnie ze zgorszeniem.

– Co by było, gdyby pana interesowało?

Nie zrozumiał mojego pytania. Nie drążyłam tematu.

Przy wyjściu z muzeum ktoś rozdawał ulotki. Nie byłam w stanie zrozumieć, co w nich napisano, ale zachwycała mnie skwapliwość, z jaką wszyscy kartkę przyjmowali i czytali. Rinri musiał zapomnieć, że prawie nie opanowałam japońskich ideogramów, bo przeczytawszy ulotkę, zapytał, czy chciałabym na to pójść. Nie ma nic bardziej kuszącego niż takie „to”, które odsyła do czegoś nieznanego. Z entuzjazmem się zgodziłam.

– No to przyjadę po panią pojutrze wieczorem – powiedział.

Nie posiadałam się z radości, nie wiedząc, czy wylądujemy na manifestacji przeciwko broni nuklearnej, happeningu artysty uprawiającego sztukę wideo, czy na przedstawieniu buto. Odgadnięcie odpowiedniego stroju było niemożliwe, ubrałam się więc neutralnie, jak nigdy. Byłam gotowa iść o zakład, że Rinri założy to samo co zawsze. I rzeczywiście miał na sobie swoje zwykłe ubranie, kiedy wylądowaliśmy na czymś, co okazało się wernisażem.

Wystawiał japoński artysta, którego nazwisko sumiennie wymazałam z pamięci. Jego obrazy wydały mi się nudne jak flaki z olejem, co nie przeszkadzało widzom kontemplować każdego z dzieł z typowym dla nich zachwycającym respektem i nieskończoną cierpliwością. Taki wieczór mógłby mnie pogodzić z całym gatunkiem ludzkim, gdyby nie boleśnie odczuwalna obecność malarza. Ten na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna był tak odrażający, że trudno mi było uwierzyć, że też jest Japończykiem. Podchodziło do niego wiele osób, by mu pogratulować lub nabyć jedno bądź kilka jego dzieł, choć kosztowały krocie, a on mierzył tych ludzi pogardliwym spojrzeniem, najwyraźniej uważając ich za zło konieczne. Nie mogłam się powstrzymać, żeby do niego nie podejść.

– Wybacz pan, ale nie bardzo rozumiem pańskie malarstwo. Czy mógłby mi pan je objaśnić?

– Nie ma w nim nic do rozumienia, nic do objaśnienia – odparł z niesmakiem. – Trzeba je odczuwać.

– No właśnie, nic nie odczuwam.

– To już pani problem.

Zapamiętałam to sobie. Już po wszystkim jego słowa wydały mi się logiczne. Z tego wernisażu wyciągnęłam naukę, z której nigdy nie skorzystałam: otóż jeśli któregoś dnia zostanę artystką, nieważne, czy utalentowaną, czy nie, wystawię swoje dzieła w Japonii. Japończycy są najlepszą publicznością na świecie i, co więcej, kupują. Ale nawet abstrahując od pieniędzy, jakże piękny musi być dla artysty widok jego dzieł oglądanych w aż takim skupieniu!

Na następnej lekcji Rinri poprosił, żebyśmy omówili kwestię zwracania się do siebie per pan, pani. Zdziwiłam się, że ta forma może sprawiać trudności użytkownikowi języka, tak biegłemu w najwymyślniejszych uprzejmościach.

– Tak – odpowiedział. – Ale na przykład my zwracamy się do siebie per pani, pan. Dlaczego?

– Ponieważ jestem pana nauczycielką.

Przyjął to wyjaśnienie bez zmrużenia oka. Po namyśle dodałam:

– Jeśli to dla pana problem, możemy postanowić, że przejdziemy na ty.

– Nie, nie – zaprotestował, pełen poszanowania dla czegoś, co zdawał się brać za uświęcony zwyczaj.

Skierowałam rozmowę na tory rozważań bardziej przyziemnych. Pod koniec lekcji, wręczając mi kopertę, zapytał, czy może przyjechać po mnie w sobotę po południu.

– Co będziemy robili? – zapytałam.

– Grali.

Zachwycona odpowiedzią, zgodziłam się.

Ja również chodziłam na wykłady i robiłam w miarę możliwości postępy w japońskim. Ale wkrótce zaczęto niechętnie na mnie patrzeć. Za każdym razem, kiedy jakiśdetal mnie zaintrygował, podnosiłam rękę. Wielu profesorów prawie dostawało zawału, widząc moje palce znów sterczące w górze. Myślałam, że milkną, żeby mnie dopuścić do głosu, i śmiało zadawałam pytanie, na które udzielano mi dziwnie mało satysfakcjonujących odpowiedzi.

Trwało to do dnia, kiedy jeden z nauczycieli na widok mojego zwyczajowego gestu ryknął ze straszliwym gniewem:

– Dostyc!

Zamurowało mnie, a reszta studentów uważnie mi się przyglądała.

Po wykładzie podeszłam do nauczyciela, żeby go przeprosić, a zwłaszcza dowiedzieć się, jakiej dopuściłam się zbrodni.

– Sensei nie zadaje się pytań! – warknął nauczyciel.

– Tak, ale jeśli się nie rozumie?

– Rozumie się!

Wtedy pojęłam, dlaczego nauka języków w Japonii tak kuleje.

Był też inny epizod. Każdy z nas miał opowiedzieć o swoim kraju. Kiedy przyszła kolej na mnie, poczułam wyraźnie, że dostał mi się trudny temat. Wszyscy opowiadali o różnych znanych krajach. Ja jako jedyna musiałam wyjaśniać, na jakim kontynencie leży moja ojczyzna. Żałowałam, że są między nami studenci niemieccy; gdyby nie oni, mogłabym zmyślić byle co, pokazać na mapie jakąś wyspę Oceanii, napomknąć o barbarzyńskich zwyczajach, takich, że nawet nauczyciel miałby z nimi problem. Należało się jednak trzymać klasycznej formuły wystąpienia; wygłaszając je, widziałam, jak studenci singapurscy dłubią w złotych zębach z werwą, która sprawiała mi przykrość.

W sobotę po południu mercedes wydał mi się jeszcze bielszy niż zwykle.

Dowiedziałam się, że jedziemy do Hakone. A że nic o tym miejscu nie wiedziałam, poprosiłam o dodatkowe informacje. Rinri trochę się plątał w zeznaniach, a potem powiedział, że sama zobaczę. Usiana rozlicznymi punktami opłaty, droga zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

W końcu dotarliśmy nad ogromne jezioro otoczone wzgórzami i malowniczymi *toń*. Przyjeżdżało się tu na krótkie wycieczki statkiem lub rowerami wodnymi. Ten ostatni detal mnie rozśmieszył. Hakone okazało się niedzielną promenadą romantycznych tokijczyków.

Pływaliśmy po jeziorze na czymś w rodzaju promu. Rozkoszowałam się widokiem japońskich rodzin podziwiających okolice, a jednocześnie strofujących najmłodsze pociechy, zakochanych, jak to zakochani, trzymających się za ręce.

– Czy przywiózł pan już kiedyś tutaj ukochaną?

– Nie mam ukochanej.

– Ale w przeszłości miał pan ukochaną?

– Tak. Nie przywiozłem jej tutaj.

Mnie pierwszej przypadł więc w udziale ten zaszczyt. Pewnie dlatego, że byłam cudzoziemką.

Z głośników na statku płynęły kliwskie piosenki. Obok jednego z *tori* był postój; zeszliśmy na ląd i odbyliśmy spacer trasą wytyczoną i romantyczną. Pary zatrzymywały się w przeznaczonych do tego celu miejscach, z przejściem obserwując rozciągający się za *toń* widok na jezioro. Dzieciaki głośno wrzeszczały, jakby chcąc ostrzec zakochanych przed tak romantyczną przyszłością. Świetnie się bawiłam.

Po tej żeglarskiej eskapadzie Rinri postawił mi *koń*: polane herbacianym syropem kruszone

lody, za którymi przepadałam. Nie jadłam ich od czasów dzieciństwa. Chrupały w zębach.

W czasie podróży powrotnej zastanawiałam się, czemu Rinri zabrał mnie do Hakone. Byłam, oczywiście, zachwycona tą tradycyjną wycieczką, ale dlaczego on chciał mi to pokazać? Chyba zadawałam sobie zbyt wiele pytań. Japończycy, bardziej niż jakakolwiek inna nacja na ziemi, robią pewne rzeczy, ponieważ tak jest przyjęte. I bardzo mi to odpowiadało.

Czułam, że Rinri czeka, kiedy go zaproszę do siebie. Była to kwestia podstawowej grzeczności; tyle już razy gościłam w jego domu.

Mimo to uparcie się przed tym wzbraniałam. Przyrowadzenie kogokolwiek do domu było dla mnie zawsze koszmarnym przeżyciem. Z definicji, z przyczyn, których wytłumaczenie mnie przerasta, moje mieszkanie nie jest miejscem do przyjmowania gości.

Odkąd osiągnęłam samodzielność, mieszkania, które zajmuję, natychmiast zaczynają przypominać graciarnie, meliny okupowane nielegalnie przez uchodźców politycznych, gotowych prysnąć przy pierwszym nalocie policji.

Na początku marca zadzwoniła do mnie Christine. Wyjeżdżała na miesiąc do Belgii spotkać się z matką i zapytała, czybym nie zechciała oddać jej przysługi i na czas nieobecności nie zamieszkała u niej, żeby podlewać kwiaty. Zgodziłam się i pojechałam do niej. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom: w ultranowoczesnym budynku, topowym okazie japońskiej awangardy architektonicznej, Christine zajmowała cudowny apartament z widokiem na inne futurystyczne gmachy. Z rozdziawionymi ustami słuchałam, jak objaśnia mi funkcjonowanie tego cudu, w którym wszystko było zinfomatyzowane. Rośliny doniczkowe sprawiały wrażenie jakichś reliktyw prehistorii, których jedyną racją bytu było dostarczenie mi pretekstu do zamieszkania na cały miesiąc w tym pałacu.

Niecierpliwie czekałam, kiedy Christine wyjedzie, żeby przeprowadzić się do tej kosmicznej stacji. Jedno było pewne: różniła się od mojego mieszkania. W każdym pokoju można było za pomocą pilota zaprogramować nie tylko muzykę, ale również temperaturę. Leżąc na łóżku, mogłam przyrządzić jedzenie w mikrofalówce, uruchomić pralkę i spuścić żaluzje w salonie.

Mało tego, budynek leżał o rzut beretem od koszarów Ichigaya, w których Mishima popełnił swoje rytualne samobójstwo. Miałam uczucie, że mieszkam w niezwykle ważnym miejscu, i nieustannie krążyłam po mieszkaniu, słuchając Bacha i odnotowując tajemniczą harmonię klawesynu z tym miejskim pejzażem jak ze snu i z tym intensywnie błękitnym niebem.

W kuchni inteligentny toster wyrzucał grzanki, kiedy poczuł, że są już gotowe. Rozlegał się wtedy dzwoneczek, którego dźwięk mnie urzekał. Programowałam koncerty przy wtórze sygnałów wydawanych przez sprzęty gospodarstwa domowego.

Nie dałam numeru telefonu tego miejsca nikomu poza jedną osobą, która niebawem zadzwoniła.

– I jakie jest to mieszkanie? – zapytał Rinri.

– Być może panu wyda się normalne. Dla mnie jest niesamowite. Przyjedzie pan tutaj w poniedziałek na lekcję i sam zobaczy.

– W poniedziałek? Jest dopiero piątek. Do poniedziałku jeszcze daleko. Czy mógłbym przyjść dzisiaj wieczorem?

– Na kolację? Nie umiem gotować.

– Ja się wszystkim zajmę.

Nie znajdowałam żadnego powodu, żeby się nie zgodzić, tym bardziej że było mi przyjemnie. Mój uczeń po raz pierwszy wykazał się taką inicjatywą. Na pewno nie bez znaczenia było tu mieszkanie Christine. Teren neutralny wiele zmienia.

O dziewiętnastej ujrzałam na ekranie domofonu twarz Rinriego i otworzyłam mu. Przyszedł z nowiuteńką walizką.

– Wyjeżdża pan?

– Nie, będę u pani gotował.

Pokazałam mu mieszkanie, które nie zrobiło na nim takiego wrażenia jak na mnie.

– Jest w porządku – powiedział. – Lubi pani szwajcarskie fondue?

– Tak, a czemu pan pyta?

– Tym lepiej. Przyniosłem sprzęt.

Powoli odkrywałam kult, jakim Japończycy otaczali sprzęt przeznaczony do wykonywania rozmaitych czynności życiowych: sprzęt górski, sprzęt morski, sprzęt golfowy, a teraz sprzęt do szwajcarskiego fondue. W domu Rinriego znajdowało się pomieszczenie w całości zajęte przez walizki przyszykowane do tych operacji.

Na moich zafascynowanych oczach młodzieniec otworzył specjalistyczny kuferek, w środku którego ujrzałam zamocowane tak, żeby się nie ruszały: podgrzewacz na paliwo międzygwiazdne, pojemnik teflonowy, torebkę polistyrenowego sera, butelkę niezamarzającego białego wina i grzanki z niepsującego się chleba. Następnie przeniósł te niezwykle obiekty na stół z pleksi.

– Zaczynamy? – zapytał.

– Tak, nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć.

Wrzucił polistyren i antyżel do pojemnika, zapalił podgrzewacz, który, co ciekawe, nie

ekspłodował, i w czasie, kiedy owe substancje wchodziły z sobą w reakcje chemiczne, wyjął z walizki talerze, mające przypominać tyrolskie, długie widelce oraz kieliszki „na resztę wina”.

Pognałam do lodówki po coca-colę, zapewniając, że będzie świetnie pasować do fondue, i napełniłam nią swój kieliszek do wina.

– Gotowe – obwieścił.

Usiedliśmy dzielnie naprzeciwko siebie i zaryzykowałam umoczenie w cieczy kawałka niepsującego się chleba nadzianego na widelec. Wyciągnęłam go, zachwycona niesamowitą ilością nitek, które natychmiast się potworzyły.

– Tak – z dumą powiedział Rinri – przy tej metodzie nitki bardzo dobrze się udają.

Nitki, które, jak powszechnie wiadomo, są prawdziwym celem szwajcarskiego fondue. Włożyłam ów obiekt do ust i zaczęłam przeżuwać; był pozbawiony jakiegokolwiek smaku. Zrozumiałam, że Japończycy tak uwielbiają szwajcarskie fondue z racji ludycznego aspektu całej operacji, sami zaś stworzyli takie, które eliminowało jedyny denerwujący detal tego tradycyjnego dania: zapach.

– Pyszne – zapewniłam, tłumiąc wesołość.

Rinriemu zrobiło się gorąco i po raz pierwszy zobaczyłam go bez czarnej zamszowej kurtki. Przyniosłam butelkę tabasco, wyjaśniając, że szwajcarskie fondue jada się w Belgii z tą właśnie przyprawą. Zanurzyłam kawałek chleba w gorącym polistyrenie, uformowałam sieć tysiąca ciągnących się nitek, położyłam żółty sześcian na talerzu i polałam go tabasco, by mu przydać jakiegoś smaku. Chłopak obserwował moje poczynania i przysięgam, że widziałam w jego oczach konstatację: „Dziwni ludzie z tych Belgów”. Przyganiał kocioł garnkowi.

Wkrótce to współczesne fondue mi się znudziło.

– No to, Rinri, opowiadaj.

– Ale... pani mi mówi po imieniu!

– Kiedy się z kimś zjadło takie fondue, przechodzi się z nim na ty.

Polistyren musiał się nadal rozprzestrzeniać w moim umyśle, który przełożył tę ekspansję na swoistą gorączkę eksperymentowania. I kiedy Rinri wyteżał szare komórki, zastanawiając się, o czym by tu opowiedzieć, jednym dmuchnięciem zgasiał podgrzewacz – który to postępek Japończyka zaskoczył – wlałam resztkę antyzelu do mieszanki, żeby ją schłodzić, po czym umoczyłam obie dłonie w tej kleistej cieczy.

Mój gość wykrzyknął:

– Czemu pani to zrobiła?

– Żeby się przekonać.

Wyciągnęłam ręce i zaczęłam się zabawiać siatką pętających je nitek. Cienka warstwa erzacu sera okrywała je niczym rękawiczki.

– Jak je pani teraz umyje?

– Wodą i mydłem.

– Nie, to za bardzo klejące. Pojemnik jest teflonowy, pani ręce nie.

– Przekonamy się.

Rzeczywiście strumień wody z kranu i płyn do zmywania naczyń nijak nie radziły sobie z moimi żółtymi jedno – palczastymi rękawicami.

– Spróbuję ostrugać sobie dłonie kuchennym nożem.

Na oczach przerażonego Rinriego wprowadziłam słowa w czyn. I stało się to, co się stać musiało: zacięłam się w dłoń i spod plastikowej błony trysnęła krew. Żeby nie zamienić miejsca w scenierię zbrodni, przyłożyłam ranę do ust.

– Pozwoli pani – powiedział chłopak.

Ukląkł, ujął moją dłoń i zaczął z niej zdrapywać ser własnymi zębami. Była to z pewnością najskuteczniejsza metoda, ale widok tego rycerza klęczącego przed damą, której palce trzymał delikatnie w dłoniach, zdzierając z niej zębami polistyren, sprawił, że wybuchnęłam śmiechem. Jeszcze nigdy galanteria nie wydała mi się tak urzekająca.

Rinri nie dał się zbić z tropu i zdrapał wszystko do końca. Zabieg trwał okropnie długo, zaś ja napawałam się dziwnością całej sytuacji. Następnie, jak prawdziwy rzemieślnik perfekcjonista, umył mi ręce w zlewie detergentem i szorstką gąbką.

Ukończywszy pracę, przyjrzał się uważnie efektowi swojej akcji ratunkowej i z ulgą westchnął. Epizod ten podziałał na niego jak katharsis. Wziął mnie w ramiona i już z nich nie wypuścił.

Następnego dnia rano obudziło mnie uczucie bolesnej suchości rąk. Smarując je kremem, przypomniałam sobie wieczór i noc. A więc miałam w łóżku chłopaka. Jaką strategię wybrać?

Obudziłam go i z wielką łagodnością powiedziałam, że tradycja w moim kraju nakazuje mężczyźnie odejść o świcie. Świt już przegapiliśmy, bo wzeszło słońce. Złożyliśmy owo uchybienie na karb oddalenia geograficznego. Jednak nie będziemy nadużywali tego argumentu. Rinri zapytał, czy zwyczaj belgijski pozwala na ponowne spotkanie.

– Owszem – odpowiedziałam.

– To przyjadę po ciebie o piętnastej.

Z przyjemnością stwierdziłam, że moje nauki w materii tykania przyniosły efekty. Pożegnał się bardzo miło. Patrzyłam, jak odchodzi ze swoją walizką do szwajcarskiego fondue.

Kiedy zostałam sama, ogarnęła mnie fala wielkiej radości. Wspominałam ostatnie wydarzenia z mieszanymi uczuciami wesołości i oszołomienia. W sumie tym, co mnie najbardziej dziwiło, były nie tyle dziwactwa Rinriego, ile dziwaczność najwyższa; miałam do czynienia z kimś miłym i uroczym, kimś, kto w żadnym momencie ani czynem, ani słowem mnie nie zranił. Nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Zaparzyłam sobie zwyczajowe pół litra bardzo mocnej herbaty i piłam ją, patrząc przez okno na koszary Ichigaya. Tego ranka nie miałam najmniejszej ochoty popełnić seppuku. Tylko ogromną potrzebę pisania. Niechaj się Tokio przygotuje na falę wstrząsu; zaraz pokażę, co potrafię. Rzuciłam się na czystą kartkę papieru przekonana, że zadrży od tego ziemia.

Ciekawe, ale do żadnego trzęsienia ziemi nie doszło. Zważywszy strefę, w której się znajdowaliśmy, ów teluryczny spokój był osobliwością, którą być może należało przypisać pomyślnej sytuacji obecnej.

Czasami przerywałam pisanie i przez wielkie okno wpatrywałam się w Tokio, mówiąc sobie: „Mam romans z chłopakiem z tego miasta”. Upajałam się tą myślą, a potem znów wracałam do pisania. W ten sposób upłynął mi cały dzień. Cudowne są takie dni.

Nazajutrz z punktualnością mercedesa mogła się równać tylko jego biel.

W Rinrim zaszła zmiana. Jego profil kierowcy nie był już taki kamienny i niewzruszony. Jego milczenie pogłębiło się o intrygujące skrępowanie.

– Dokąd pojedziemy? – zapytałam.

– Zobaczysz.

Odpowiedź ta miała stać się jednym z jego klasyków; jakkolwiek był cel, wspaniały czy banalny, jedyną odpowiedzią na moje pytania miało być „zobaczysz”. „Zobaczysz” było Cyterą tego chłopaka; ruchomym miejscem, służącym jedynie do nadania kierunku samochodowi.

Ta niedziela zainaugurowała „Zobaczysz”, tym razem umiejscowione w Tokio: Park Olimpijski. Pomysł wydał mi się dobry, bo konkretny, lecz był mi obojętny; żadne współzawodnictwo, choćby pod najszczytniejszymi sztandarami, nigdy nie zdołało mnie porwać. Patrzyłam na stadion i obiekty sportowe z doskonałą uprzejmością osób niezainteresowanych; słuchałam drobiazgowych objaśnień Riniego, zwracając jedynie uwagę na jego postępy we francuskim; na olimpiadzie języków obcych przypadłby mu złoty medal.

Nie byliśmy bynajmniej jedynymi zakochanymi, by użyć zwyczajowej formuły, spacerującymi dookoła stadionu. Uwielbiałam ten aspekt „obowiązkowego parkuru” naszych perypetii; tradycja tego kraju oddała do dyspozycji par, przygodnych lub na całe życie, rodzaj specjalnej infrastruktury po to, by nie musieli łącać sobie głowy nad sposobem spędzenia czasu. Przypominało to grę towarzyską. Czujesz coś do kogoś? Zamiast zastanawiać się od dwunastej do czternastej nad rzeczywistą naturą swoich wzruszeń, zaprowadź tego kogoś do tej, a nie innej kratki naszego monopolu, czy raczej monofily. Dlaczego? Zobaczysz.

„Zobaczysz” było najlepszą filozofią. Rinri i ja nie mieliśmy bladego pojęcia, co razem robimy ani dokąd zmierzamy. Pod pretekstem odwiedzania różnych, względnie interesujących miejsc, sondowaliśmy się wzajem z życzliwą ciekawością. Wyjściowa kratka japońskiego monofily budziła mój zachwyt.

Rinri trzymał mnie za rękę, tak samo jak każdy zakochany napotkany na trasie trzymał za rękę swoją towarzyszkę. Przy podium powiedział:

– To jest podium.

– Aha – odpowiedziałam.

Przy basenie powiedział:

– To jest basen.

– Ach, więc to jest basen – odpowiedziałam z powagą.

Nie zamieniłabym się z nikim innym na świecie. Zbyt dobrą miałam zabawę i prowokowałam nowe rewelacje, kierując się w stronę ringu po to, by usłyszeć „to jest ring” itd. Objaśnienia te sprawiały mi mnóstwo radości.

O godzinie siedemnastej, jak wiele innych miejscowych wybranek, dostałam *koń* z grenadyną. Chrupałam kruszone kolorowe lody z wielkim zapalem. Widząc, ile czułych dowodów wdzięczności wkoło przysparzało to hojnym fundatorom, ja swoich również nie skapiłam. Podobało mi się to wrażenie kopiowania gestów i słów moich sąsiadek.

Z nadejściem zmroku zaczęło się robić chłodno. Zapytałam Rinriego, co monofily przewiduje na wieczór.

– Słucham? – zapytał.

By mu oszczędzić zakłopotania, zaprosiłam go do mieszkania Christine. Sprawiał wrażenie ucieszonego, a zarazem człowieka, który odetchnął z ulgą.

„Zobaczysz” nigdy nie było równie fantastyczne, jak w murach tego tokijskiego okazu budowlanej perfekcji. Kiedy otworzyłam drzwi, zabrzmiała muzyka Bacha.

– To jest Bach – powiedziałam.

Teraz moja kolej.

– Bardzo mi się podoba – stwierdził Rinri.

Odwrociłam się i wskazałam go palcem:

– To jesteś ty.

Po miłości nie było już reguł. W łóżku go odkrywałam. Długo się we mnie wpatrywał, a potem powiedział:

– Jaki ty piękny jesteś.

To był angielski źle przetłumaczony na francuski. Za nic w świecie bym go nie poprawiła. Nigdy mnie nie uważano za pięknego.

– Japonki są o wiele piękniejsze – powiedziałam.

– Nieprawda.

Byłam zachwycona jego złym gustem.

– Opowiedz mi o Japonkach.

Wzruszył ramionami. Nie ustępowałam. Wreszcie powiedział:

– Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Denerwują mnie. Nie są sobą.

– Może ja też nie jestem sobą.

– Jesteś. Istniejesz, patrzysz. One przez cały czas tylko się zastanawiają, czy się podobają. Myślą tylko o sobie.

– Większość Europejek jest taka sama.

– Ja i moi koledzy czujemy się tak, jakbyśmy byli dla tych dziewczyn lustrami.

Udałam, że się w nim przeglądam, poprawiam włosy. Roześmiał się.

– Często rozmawiasz z kolegami o dziewczynach?

– Niezbyt. To sprawy krępujące. A ty rozmawiasz o chłopakach?

– Nie, to sprawy osobiste.

– Z dziewczynami japońskimi jest odwrotnie. Przy chłopaku są okropnie pruderyjne. A potem idą i opowiadają o wszystkim swoim przyjaciółkom.

– Europejki robią to samo.

– Czemu tak mówisz?

– Żeby bronić Japoniek. Bycie Japonką musi być trudne.

– Bycie Japończykiem też jest trudne.

– Nie wątpię. Opowiedz.

Umilkł. Nabrał oddechu. Zobaczyłam, jak zmienia się na twarzy.

– Kiedy miałem pięć lat, tak samo jak inne dzieci zdawałem testy, żeby się dostać do jednej z najlepszych podstawówek. Gdybym je zdał, mógłbym w przyszłości pójść na jeden z najlepszych uniwersytetów. Już jako pięciolatek o tym wiedziałem. Ale nie zdałem.

Zauważyłam, że drży.

– Rodzice nic nie powiedzieli. Byli rozczarowani. Mój ojciec, kiedy miał pięć lat, je zdał.

Poczekaliśmy, aż przyjdzie noc, i się popłakałem.

Wybuchnął płaczem. Objęłam ramionami jego ciało, całe napięte z cierpienia. Opowiadano mi już o tych strasznych japońskich selekcjach, którym po stokroć przedwcześnie poddawane były małe dzieci, świadome wysokości stawki.

– W wieku pięciu lat dowiedziałem się, że jestem nie dość inteligentny.

– Nieprawda. W wieku pięciu lat dowiedziałeś się, że nie zaliczyłeś.

– Czuję, że mój ojciec myśli: „To bez znaczenia. Jest moim synem, zajmie moje miejsce”.

Ogarnął mnie wtedy wstyd, który czuję do dziś.

Przytuliłam go, szepcząc słowa pociechy, zapewniając o jego inteligencji. Długo płakał, aż w końcu zasnął.

Wpatrywałam się w noc okrywającą miasto, w którym co roku większość pięcioletnich dzieci dowiadywała się, że zmarnowała życie. Wydawało mi się, że zewsząd słyszę koncerty stłumionych łez.

Rinri z tego wybrnął, bo był synem swojego ojca; miejsce bólu zajął u niego wstyd. Ale inni, zawaliwszy testy, już od najmłodszych lat wiedzieli, że w najlepszym wypadku zostaną mięsem korporacyjnym, tak jak kiedyś zostaliby mięsem armatnim. I jak tu się dziwić, że tylu japońskich nastolatków popełnia samobójstwo.

Christine miała wrócić dopiero za trzy tygodnie. Zaproponowałam Rinriemu, żebyśmy maksymalnie wykorzystali jej mieszkanie. Grę w monofily kontynuować będziemy po jej powrocie. Był zachwycony moim pomysłem.

W miłości, podobnie jak we wszystkim innym, najważniejsza jest infrastruktura. Patrząc przez ogromne okno na koszary Ichigaya, zapytałam Rinriego, czy lubi Mishimę.

– Jest cudowny – odpowiedział.

– Zdziwiasz mnie. Europejczycy zapewniali, że ten pisarz bardziej się podoba cudzoziemcom.

– Japończycy nie bardzo go lubią jako człowieka. Ale jego dzieło jest nadzwyczajne. To dziwne, co powiedzieli twoi europejscy przyjaciele, bo jest ono piękne zwłaszcza po japońsku. Jego frazy są jak muzyka. Jak to przetłumaczyć?

Uradowało mnie to oświadczenie. A że nieprędko będę w stanie odcyfrować konieczne ideogramy, poprosiłam Rinriego, żeby mi poczytał na głos Mishimę w oryginale. Wywiązał się z tego z ochotą; zadrzałam, słysząc, jak mówi *Kinjiki*. Daleko mi było do zrozumienia wszystkiego, od tytułu poczynając.

– Dlaczego „zabronione barwy”?

– W japońskim kolor może być synonimem miłości.

Prawo japońskie przez długi czas uważało homoseksualizm za przestępstwo. Bez względu na to, jak cudowna była ta równoznaczność barwy i miłości, w tym momencie Rinri wkraczał na delikatny grunt. Nigdy nie rozmawiałam o miłości. Rinri często poruszał ten temat, wekslowałam jednak rozmowę na inne tory. Z okna obserwowaliśmy przez lornetkę kwitnące drzewa japońskiej wiśni.

– Zgodnie z tradycją powinienem nocą, popijając sake, zaśpiewać dla ciebie pod kwitającymi drzewami wiśni.

– Do dzieła.

Pod najbliższym drzewem Rinri śpiewał dla mnie piosenki. Śmiałam się, ale on uniósł się gniewem:

– Naprawdę myślę to, co śpiewam.

Wypiłam jednym haustem moją sake, by odpędzić uczucie skrępowania. Pączki kwiatów wiśni były niebezpieczne, rozniecały sentymentalizm młodzieńca.

Myślałam, że po powrocie do ultranowoczesnego mieszkania Christine znajdę się na bezpiecznym gruncie. Błąd: czekały mnie wyznania miłosne strzeliste jak ten wieżowiec. Wysłuchałam ich dzielnie i nic nie powiedziałam. Na szczęście Rinri zaakceptował moje milczenie.

Bardzo go lubiłam. Czegoś takiego nie można jednak powiedzieć ukochanemu. Szkoda. Z mojej strony to, że go bardzo lubiłam, oznaczało bardzo wiele.

Sprawiał, że byłam przy nim szczęśliwa.

Zawsze się cieszyłam, kiedy go widziałam. Darzyłam go przyjaźnią, czułością. Kiedy go nie było, nie tęskniłam za nim. Tak wyglądało moje uczucie do niego; uważałam naszą historię za cudowną.

I dlatego bałam się deklaracji, które wymagałyby odpowiedzi lub, co gorsza, wzajemności. Kłamanie w tych sprawach jest torturą. Odkrywałam, że mój lęk jest nieuzasadniony. Rinri oczekiwał ode mnie tylko tego, żebym go słuchała. I jakże słusznie! Słuchanie drugiego człowieka to już ogromnie dużo. A ja słuchałam go z wielką gorliwością.

Dla moich uczuć do tego chłopca brakowało nazwy we współczesnym języku francuskim, ale nie w japońskim, w którym oddawał je termin *koi*. *Koi* można przetłumaczyć jako upodobanie. Czułam do niego upodobanie. Był moim *koibito*, tym, z którym dzieliłam *koi*; upodobałam sobie jego towarzystwo.

We współczesnym japońskim wszystkie młode, żyjące bez ślubu pary określają swego partnera jako *koibito*. Głęboko zakorzeniona pruderia wyklucza słowo miłość. Z wyjątkiem incydentu lub przystępu miłosnego szaleństwa nie używa się tego wielkiego słowa, rezerwując je dla literatury i tego typu rzeczy. Że też musiałam trafić na Japończyka, który nic sobie nie robił ani z tego słownictwa, ani z przyjętych w tej materii zasad. Pocieszała mnie jednak myśl, że do jego dziwactwa przyczyniała się zapewne w dużej mierze językowa egzotyka. Nie bez znaczenia było to, czy wyznania Rinriego skierowane do osoby francuskojęzycznej wyrażane są po francusku czy po japońsku; język francuski musiał być dla niego tym prestiżowym, a zarazem rozwiązłym obszarem, na którym można było pofolgować takim sekretnym uczuciom.

Miłość jest afektem tak bardzo francuskim, że niektórzy upatrywali w niej wynalazek narodowy. Nie posuwając się tak daleko, przyznaję, że jest w tym języku pewien miłosny geniusz. Być może należałoby uznać, że oboje, Rinri i ja, nabraliśmy skłonności typowych dla

języka partnera: on, odurzony tą nowością, „grał” w miłość, ja delectowałam się *koi*. Co pokazuje, jak cudownie otwarci byliśmy oboje na kulturę partnera.

Koi miało tylko jedną wadę: nazwę, która była doskonałym homonimem karpia, jedyne zwierzęcia budzącego we mnie wstręt. Na szczęście owej zbieżności nie towarzyszyło żadne podobieństwo; nawet jeśli w Japonii karp symbolizuje chłopca, moje uczucie do Rinriego w niczym nie przypominało tej wielkiej błotnej ryby z obrzydliwą paszczą. Przeciwnie, *koi* zachwycało mnie swą lekkością, płynnością, świeżością, a także swoim brakiem powagi. *Koi* było eleganckie, rozrywkowe, zabawne, cywilizowane. Jednym z uroków *koi* było parodiowanie miłości: przejmowało z niej niektóre zachowania, nie po to, by cokolwiek ujawniać, tylko dla beztrudnej zabawy.

Staralam się jednak ukrywać swoją wesołość, żeby Rinriego nie urazić; brak poczucia humoru w miłości jest powszechnie znany. Podejrzewam, że wiedział, iż darzę go *koi*, a nie *ai* – słowo to jest tak piękne, że czasami żałowałam, że go nie używam. Zapewne tylko świadomość, że to początki, sprawiała, że się tym nie smucił: musiał zrozumieć, że jest moim pierwszym *koi*, tak jak ja byłam jego pierwszą miłością. Bo choć już nieraz traciłam głowę, to jeszcze nigdy nie poczułam do nikogo upodobania.

Te dwa słowa, *koi* i *ai*, nie różnią się stopniem intensywności; one są z istoty swej nie do pogodzenia. Czy zakochujemy się w kimś, kogo sobie upodobaliśmy? To niemożliwe. Zakochujemy się w tych, których nie znosimy, w tych, którzy reprezentują dla nas nieznośne niebezpieczeństwo. Schopenhauer upatruje w miłości fortel instynktu prokreacji; trudno wyrazić, jaką grozę budzi we mnie podobna teoria. Ja w miłości upatruję fortel mojego instynktu, niepozwalający mi uśmiercić bliźniego; czasami, kiedy mam ochotę zamordować konkretną osobę, jakiś tajemniczy mechanizm – odruch obronny? tęsknota za niewinnością? strach przed wylądowaniem w więzieniu?

– mnie powstrzymuje. Dlatego, o ile mi wiadomo, nie mam jeszcze na swoim koncie żadnego morderstwa.

Zabić Rinriego? Cóż za okrutny, a tym bardziej niedorzeczny pomysł! Zabić istotę tak miłą, wyzwalającą we mnie jak najlepsze uczucia! Przecież go nie zabiłam, co świadczy, że nie było to konieczne.

Rzadko zdarza mi się napisać opowieść, w której nikt nikogo nie ma ochoty zamordować. To na tym chyba polega opowieść o *koi*.

Posiłki przygotowywał Rinri. Kucharzył kiepsko, lecz i tak, podobnie jak cała ludzkość, lepiej ode mnie. Szkoda byłoby, żeby wspaniałe wyposażenie kuchenne Christine stało niewykorzystane. A tak zostało wykorzystane do robienia wątpliwej jakości makaronów, które Rinri nazywał *carbonara* – jego wersja tego klasycznego dania polegała na wrzuceniu do niego, i to w wielkich ilościach, wszelkich możliwych tłuszczów, występujących w 1989 roku na ziemi. Kuchnia japońska, jak powszechnie wiadomo, jest lekka. I w tym przypadku nie wykluczam hipotezy, że stałam się powodem kulturowego rozpasania.

Zamiast mu uświadomić, że jest to niejadalne, opowiadałam, jak uwielbiam sushi i sashimi. Krzywił się.

– Nie lubisz tego? – zapytałam.

– Nie, lubię – odpowiedział uprzejmie.

– Pewnie trudno to przygotować.

– Owszem.

– Mógłbyś kupić w sklepie.

– Naprawdę tak ci zależy?

– Czemu mówisz, że to lubisz, skoro nie lubisz?

– Lubię. Ale kiedy jem sushi i sashimi, czuję się jak na obiedzie u rodziców, i to w towarzystwie dziadków.

To był argument.

– W dodatku, kiedy tojemy, przez cały czas opowiadają, jakie jest zdrowe. Strasznie mnie to denerwuje – dodał.

– Rozumiem. A to budzi apetyt na rzeczy niezdrowe, typu spaghetti *carbonara* – powiedziałam.

– To spaghetti *carbonara* jest niezdrowe?

– W twoim wydaniu na pewno tak.

– I dlatego jest takie smaczne.

Tym trudniej będzie go poprosić o przyrządzenie czegoś innego.

– A może znów zrobię fondue? – zaproponował.

– Nie.

– Nie smakowało ci?

– Smakowało, ale fondue to szczególne wspomnienie. Powtórzenie go może nas tylko rozczarować.

Uff. Znalazłam grzeczną wymówkę.

– A *okonomiyaki*, które jedliśmy u twoich przyjaciół?

– Tak, to jest łatwe.

Uratowana. *Okonomiyaki* stało się naszym ulubionym daniem. Lodówka nappełniła się na stałe krewetkami, jajkami, kapustą i imbirem. Na stole królował sos śliwkowy.

– Gdzie kupujesz taki pyszny sos? – zapytałam.

– Mam skład w domu. Rodzice przywieźli z Hiroszimy.

– A to znaczy, że kiedy się wyczerpie, trzeba będzie się tam znowu wybrać.

– Nigdy tam nie byłem.

– To dobrze. Nie widziałeś nic w Hiroszynie, nic a nic.

– Co ty mówisz?

Wyjaśniłam, że to parodia klasycznej odzywki francuskiego kina literackiego.

– Nie widziałem tego filmu – obruszył się.

– Możesz przeczytać książkę.

– O czym to jest?

– Nie powiem ci, wolę, żebyś sam odkrył.

Przez cały ten wspólnie spędzony czas nie wystawiliśmy nosa na zewnątrz. Powrót Christine zbliżał się wielkimi krokami; z przerażeniem myśleliśmy o opuszczeniu mieszkania, które odegrało taką rolę w naszym związku.

– Moglibyśmy się w nim zabarykadować – zasugerowałam.

– Naprawdę byś to zrobiła? – spytał Rinri z pełnym zgrozy podziwem.

Cieszyłam się, że uważa mnie za zdolną do tak strasznych czynów.

Mnóstwo czasu spędzaliśmy w łazience. Wanna miała rozmiary wydrążonego wieloryba o nozdrzach skierowanych do wewnątrz.

Posłuszny tradycji, Rinri przed wejściem do kąpieli szorował się od stóp do głów w umywalce; nie wolno kalać czcigodnej wanny. Nie mogłam nagiąć się do tego zwyczaju, który uważałam za niedorzeczny. To tak jakby wkładać czyste naczynia do zmywarki.

Przedstawiłam mu swój punkt widzenia.

– Być może masz rację – odrzekł na to – ale nie potrafię inaczej. Profanacja wody w kąpieli jest ponad moje siły.

– Ale wygłaszanie bluźnierstw o japońskim jedzeniu to dla ciebie nie problem.

– Tak już jest.

Miał rację. Żadnego z jego reakcyjnych bastionów nie sposób było racjonalnie uzasadnić.

Czasami miałam wrażenie, że wanna-wieloryb porusza się i wciąga swoich lokatorów w otchłanie morza.

– Znasz opowieść o Jonaszu? – zapytałam.

– Tylko nie mów nic o wielorybach. Zaraz się posprzeczamy.

– Nie powiesz mi chyba, że jesteś jednym z tych Japończyków, którzy je jedzą?

– Wiem, że się nie powinno. Nie moja wina, że to takie dobre.

– Próbowałam, jest wstrętne!

– Widzisz? Gdyby ci smakowało, nasz zwyczaj by cię nie szokował.

– Ale wieloryby są gatunkiem na wymarciu!

– Wiem. Postępujemy źle. Ale co na to poradzę? Kiedy pomyślę o smaku tego mięsa, od razu zaczynam się ślinić. Nie mogę się opanować.

Nie był typowym Japończykiem. Na przykład mnóstwo podróżował, ale w pojedynkę i bez

aparatu fotograficznego.

– Ukrywam to przed innymi. Gdyby moi rodzice dowiedzieli się, że jeżdżę sam, byłoby zaniepokojeni.

– Myśleliby, że grozi ci niebezpieczeństwo?

– Nie. Zaniepokoiłoby się o moje zdrowie psychiczne. Tutaj ktoś, kto lubi podróżować bez towarzystwa, uważany jest za obłąkanego. Słowo „sam” w naszym języku zawiera w sobie pojęcie rozpaczy.

– Przecież są w twoim kraju różni sławni pustelnicy.

– No właśnie. Panuje opinia, że samotność może lubić tylko bonza.

– Czemu twoi rodacy nigdy nie zbierają się w takie tłumy, jak właśnie za granicą?

– Bo lubią widzieć wokół ludzi różnych od siebie, a jednocześnie czuć się pewnie, będąc wśród siebie podobnych.

– A ta potrzeba fotografowania?

– Nie wiem. Denerwuje mnie to, tym bardziej że wszyscy fotografują to samo. Może jako dowód, że nie był to tylko sen.

– Nigdy cię nie widziałam z aparatem fotograficznym.

– Nie mam aparatu.

– Ty, który posiadasz wszelkie możliwe gadżety, jakie tylko istnieją, włącznie z podgrzewaczem do jedzenia szwajcarskiego fondue na statku kosmicznym, nie masz aparatu fotograficznego?

– Nie. To mnie nie interesuje.

– Skubany Rinri.

Zapytał, co znaczy to wyrażenie. Wyjaśniłam mu. Wydało mu się to tak niesamowicie dziwne, że zafascynowany, odtąd powtarzał po dwadzieścia razy dziennie: „Skubana Amélie”.

Któregoś popołudnia nagle zaczął padać deszcz, a potem grad. Przyglądając się temu przez okno mieszkania, skomentowałam:

– No proszę, nawet w Japonii zdarza się gradobicie.

Z tyłu za plecami usłyszałam echo jego głosu, powtarzającego:

– Gradobicie.

Zorientowałam się, że dopiero co odkrył to słowo, że kontekst sprecyzował mu jego znaczenie i powtarzał je, żeby utrwalić w pamięci. Roześmiałam się. Musiał zrozumieć moje

rozbawienie, bo powiedział:

– Skubany ja.

Na początku kwietnia wróciła z Belgii Christine. W dobroci swojej oddałam jej mieszkanie. Rinri robił wrażenie bardziej załamane niż ja. Nasz związek zmuszony był przybrać postać bardziej tułaczą. Nie byłam z tego powodu tak znów nieszczęśliwa. Brakowało mi trochę monofily.

Wróciłam do betonowego zamku. Rodzice Rinriego nie nazywali mnie już Sensei, co świadczyło o ich przenikliwości. Dziadkowie jeszcze częściej nazywali mnie Sensei, co potwierdzało ich przewrotność.

Kiedy w towarzystwie ich małego światełka piłam herbatę, ojciec pokazał mi biżuterię, którą właśnie zaprojektował; dziwny naszyjnik, skrzyżowanie mobilu Caldera ze strumieniem onyksów.

– Podoba się pani?

– Podoba mi się to zestawienie czerni ze srebrem. Jest eleganckie.

– Należy do pani.

Rinri zapiął mi go na szyi. Byłam zmieszana. Kiedy znaleźliśmy się sami, powiedziałam:

– Twój ojciec podarował mi wspaniały prezent. W jaki sposób mu się zrewanżuję?

– Jeśli mu cokolwiek dasz, obdaruje cię jeszcze hojniej.

– Więc co mam zrobić?

– Nic.

Miał rację. Jedynym sposobem uniknięcia eskalacji hojności jest dzielne zaakceptowanie bajecznych darów.

W tym czasie przeniosłam się z powrotem do mojego mieszkania. Rinri był zbyt delikatny, by zapytać, czy może mnie odwiedzić, ale podsuwał mi różne preteksty, których starannie nie podejmowałam.

Często do mnie dzwonił. W sposób niezamierzony używał różnych komicznych sformułowań, które zachwyciły mnie tym bardziej, że mówił to poważnie:

– Dzień dobry, Amélie. Chciałbym poznać twój stan zdrowia.

– Znakomity.

– Czy wobec tego życzyłabyś sobie mnie spotkać?

Wybuchalam śmiechem. Nie rozumiał dlaczego.

Rinri miał młodszą, osiemnastoletnią siostrę, która studiowała w Los Angeles. Któregoś dnia oznajmił, że przyjechała do Tokio na krótkie wakacje.

– Dziś wieczorem po ciebie przyjadę, żebyście się poznały.

Głos drżał mu wzruszeniem i powagą. Przygotowałam się na przeżycie czegoś doniosłego.

Wsiadłam do mercedesa i odwróciłam się, by przywitać młodą dziewczynę na tylnym siedzeniu. Na widok jej urody oniemiałam.

– Amélie, to jest Rika. Rika, to jest Amélie.

Skinęła głową z cudownym uśmiechem. Rozczarowało mnie jej imię, ale nie reszta osoby. To był anioł.

– Rinri dużo mi o tobie mówił – powiedziała.

– Mnie też dużo o tobie mówił – zmyśliłam.

– Obie kłamiecie. Ja nigdy dużo nie mówię.

– Fakt, on nigdy nic nie mówi – ciągnęła Rika. – Mówił mi o tobie strasznie mało. I dlatego jestem przekonana, że cię kocha.

– W takim razie ciebie też kocha.

– Nie masz mi za złe, że rozmawiam z tobą po amerykańsku? W japońskim robię zbyt dużo błędów.

– Ja bym ich na pewno nie zauważyła.

– Rinri bez przerwy mnie poprawia. Chciałby, żebym była doskonała.

Była więcej niż doskonała. Rinri zawiózł nas do parku Shirogane. O zmroku miejsce było tak wyludnione, że można by pomyśleć, iż znaleźliśmy się daleko od Tokio, w jakimś mitycznym lesie.

Rika wysiadła z samochodu z torbą. Otworzyła ją, wyjęła ze środka jedwabny obrus, który rozłożyła na ziemi, sake, kieliszki i ciastka. Usiadła na tkaninie i zaprosiła, żebyśmy poszli w jej ślady. Byłam oczarowana jej wdziękiem.

Kiedy wypiliśmy za nasze spotkanie, zapytałam, jakie są ideogramy jej imienia. Pokazała mi.

– Kraina woni! – wykrzyknęłam. – Jest cudowne i bardzo do ciebie pasuje.

Poznawszy japońskie znaczenie jej imienia, przestałam uważać je za brzydkie.

Życie w Kalifornii sprawiło, że była o wiele mniej skryta niż brat. Szczebiotała w przeuroczy sposób. Spijałam słowa z jej ust. Rinri sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego na równi ze mną. Wpatrywaliśmy się w nią jak w jakieś urzekające zjawisko przyrody. Nagle powiedziała:

– No dobrze, a sztuczne ognie?

– Już się robi – powiedział chłopak.

Spadłam z obłoków. Rinri wyjął z bagażnika walizkę, jak się okazało, specjalną do sztucznych ogni, tak jak tamta do szwajcarskiego fondue. Rozłożył fajerwerki na ziemi i zapowiedział, że zaraz się zaczną. Wkrótce niebo nad naszymi głowami wybuchło eksplozją barw i gwiazd, której wtórowały ekstatyczne okrzyki dziewczyny.

Na moich urzeczonych oczach brat ofiarowywał siostrze nie dowód, lecz świadectwo miłości. Nigdy jeszcze nie czułam mu się tak bliska.

Kiedy trzeszczenie polarnych zórz nad naszymi głowami ucichło, Rika zmartwiona zawołała:

– Już koniec?

– Zostały jeszcze race – powiedział brat.

Wyjął z walizki i wręczył każdej z nas po naręczu laseczek. Zapalił tylko jedną, od której zajęły się ogniem końcówki wszystkich pozostałych. Każda pałeczka sypnęła wiązką wirujących iskier.

Noc srebrzyła bambusy w parku Shirogane. Nasza apokalipsa świętojańskich robaczków okrywała złotem ich białą matowość. Brat i siostra radowali się swoimi snopami gwiazd. Zdawałam sobie sprawę, że jestem z dwojgiem pochłoniętych sobą dzieciaków i ta świadomość przejmowała mnie wzruszeniem.

Jakim darem było to, że mnie między siebie dopuścili! Cenniejszym niż dowód miłości, bo dowodem zaufania.

Snopy światła zaczęły gasnąć, ale czar wciąż trwał. Dziewczyna westchnęła radośnie:

– Było bosko!

Podzielałam miłość Rinriego do tej szczęśliwej dziewczynki. W tej atmosferze dogasającego święta w towarzystwie pięknej baśniowej dziewczyny było coś z Nerval. Nerval w Japonii, kto by pomyślał?

Nazajutrz wieczorem Rinri zabrał mnie na chiński makaron w ulicznej jadłodajni.

– Kocham Rikę – oznajmiłam.

– Ja też – odparł z uśmiechem wzruszenia.

– Wiesz, ciebie i mnie łączy jedna dziwna rzecz. Ja też kocham moją siostrę, która mieszka daleko. Ma na imię Juliette i rozstanie się z nią było ponad ludzkie siły.

Pokazałam mu zdjęcie mojej świętej starszej siostry.

– Jest piękna – powiedział, wpatrując się w nią z uwagą.

– Tak, i nie tylko piękna. Brakuje mi jej.

– Rozumiem cię. Mnie też okropnie brakuje Riki, kiedy jest w Kalifornii.

Nad miską makaronu popadłam w elegijny nastrój. Powiedziałam, że tylko on może zrozumieć, do jakiego stopnia czuję się okaleczona rozłąką z Juliette. Opowiedziałam mu o sile więzi, która nas od zawsze łączyła, o tym, jak bardzo ją kocham, i o tym niedorzecznym gwałcie, jakim było dla mnie rozstanie z nią.

– Musiałam wrócić do Japonii, ale czy musiałam przeżyć tak okrutne oderwanie?

– Dlaczego z tobą nie przyjechała?

– Chce mieszkać w Belgii, ma tam pracę. Nie podziela mojego entuzjazmu dla twojego kraju.

– Zupełnie jak Rika. Japonia też nie jest krainą jej marzeń.

Jak to możliwe, żeby dwie tak cudowne istoty jak nasze siostry nie były zafascynowane tym krajem? Zapytałam, co Rika studiuje w Kalifornii. Odpowiedział, że program jej nauki jest dość nieokreślony, a tak naprawdę jest kochanką niejakiego Tchanga, króla świata przestępczego Los Angeles.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jest bogaty – powiedział z zabawnym przygnębieniem.

Oszołomiona, zadawałam sobie w duchu pytanie, jakim sposobem ten niebiański anioł mógł wybrać życie z mafijnym bossem. „Nie bądź głupia – pomyślałam – tak jest na świecie od zawsze”. Nagle wyobraziłam sobie Rikę w pierzastym boa na szyi i w szpilkach, idącą pod rękę z Chińczykiem w białym garniturze. Roześmiałam się.

Rinri odpowiedział mi porozumiewawczym uśmiechem. Każde w swojej miseczce ujrzało obraz własnej siostry. Nasz związek miał sens.

Byłam zdumiona swoimi postępami w japońskim, choć nie aż tak bardzo, jak Rinriego we francuskim, bo te były oszałamiające.

Dla zabawy epatowaliśmy się wzajem swoimi możliwościami w tej dziedzinie. Kiedy padał ulewny deszcz, Rinri mówił:

– Leje jak z cebra.

Co, wypowiedziane jego dystyngowanym głosem, brzmiało dość komicznie.

Kiedy wygłaszał jakąś bzdurę, zwykłam błyskotliwie rzucić:

– *Nani o shaimasu ka?*

Co tłumaczy się – czy raczej nie tłumaczy, gdyż nikt oprócz Japończyka nie posłużyłby się tak arystokratycznym sformułowaniem, najlepszy dowód, że sami Japończycy już go nie używają – jako: „Co ośmielasz się w czci – godności swej powiedzieć?”.

Rinri pękał ze śmiechu. Pewnego wieczoru, kiedy jego rodzice zaprosili mnie do betonowego pałacu na kolację, zapragnęłam ich olśnić. Kiedy tylko Rinri powiedział coś zaskakującego, zapytałam głośno tak, żeby mnie wszyscy usłyszeli:

– *Nani o shaimasu ka?*

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, Monsieur ryknął śmiechem. Oburzeni dziadkowie mnie zbesztali, utrzymując, że nie miałam prawa czegoś takiego powiedzieć. Madame, odczekawszy, aż z powrotem zapanuje spokój, rzekła z uśmiechem:

– Po co zadajesz sobie tyle trudu, by wypaść dystyngowanie, skoro z tak ekspresyjną twarzą nigdy nie będziesz damą?

Oto potwierdziło się to, czego jej uprzejmość pozwoliła mi się już domyślić: ta kobieta mnie nienawidziła. Mało tego, że kradłam jej syna, to jeszcze byłam cudzoziemką. Oprócz tych dwóch zbrodni zdawała się wyczuwać we mnie coś, co jeszcze bardziej jej się nie podobało.

– Gdyby była tu Rika, popłakałaby się ze śmiechu – powiedział Rinri, który nie zauważył złośliwości matki.

W przeszłości uczyłam się angielskiego, holenderskiego, niemieckiego i włoskiego. W przypadku tych żywych języków występowała stała prawidłowość: lepiej w nich rozumiałam, niż mówiłam. Było to logiczne: najpierw dane zachowanie obserwuje się, a dopiero potem przejmuje. Intuicja językowa działa już wtedy, kiedy jeszcze nie posiadało się umiejętności.

Z japońskim było odwrotnie: moja czynna znajomość tego języka znacznie przerastała znajomość bierną. Zjawisko to, którego nie potrafię sobie wytłumaczyć, nigdy nie znikło. Nieraz udawało mi się wyrazić w tym języku myśli tak wyrafinowane, że mój rozmówca, sądząc, że ma do czynienia z uczoną japonistką, odpowiadał mi w sposób równie wyszukany. A wtedy jedynym dla mnie ratunkiem była rejterada, żeby ukryć fakt, iż nie rozumiałam ani słowa z jego repliki. Kiedy ucieczka była niemożliwa, nie pozostawało mi nic innego, jak wyobrazić sobie, co takiego mój rozmówca mógł odpowiedzieć, i dalsze kontynuowanie tego monologu udającego dialog.

Rozmawiałam o tym zjawisku z różnymi lingwistami, którzy zapewniali mnie, że to całkiem normalne: „Nie może pani posiadać intuicji językowej w języku tak odmiennym od pani ojczystego języka”. Tylko nie zapominajmy, że do wieku pięciu lat mówiłam po japońsku. Potem mieszkałam w Chinach, w Bangladeszu itd. i tam też, podobnie jak wszędzie indziej, bierna znajomość języka przeważała u mnie nad aktywną. Tak więc w moim przypadku można mówić o prawdziwym japońskim wyjątku od reguły. Kusi mnie, by wytłumaczyć go przeznaczeniem: był to kraj, w którym bierność byłaby dla mnie rzeczą nie do pomyślenia.

I stało się to, co się stać musiało: w czerwcu Rinri z grobową miną oznajmił, że właśnie skończył się sos z gorzkich śliwek.

– Przy tym tempie, w jakim go używaliśmy, nie mogło być inaczej.

Jego postępy we francuskim mnie fascynowały. Odpowiedziałam:

– Tym lepiej! Marzyłam, żeby pojechać z tobą do Hiroszimy.

Jego mina z poważnej zamieniła się w przerażoną. Poszukałam argumentu historycznego i zaczęłam pertraktować:

– Cały świat podziwiał odwagę, z jaką Hiroszima i Nagasaki zniosły...

– Nie w tym rzecz – przerwał. – Przeczytałem książeczkę tej Francuzki, tę, o której mi mówiłaś...

– *Hiroszima, moja miłość.*

– Właśnie. Nic nie rozumiałem.

Roześmiałam się.

– Nie przejmuj się, wielu czytelników francuskich odebrało ją podobnie. Jeden argument więcej, żeby wybrać się do Hiroszimy – improwizowałam.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli się przeczyta tę książkę w Hiroszynie, to się ją zrozumie?

– Na pewno – zadekretowałam.

– To idiotyczne. Nie muszę jechać do Wenecji, żeby zrozumieć *Śmierć w Wenecji*, ani do Parmy, żeby przeczytać *Pustelnię parmeńską*.

– Marguerite Duras jest autorką bardzo specyficzną – powiedziałam, przekonana o prawdziwości swoich słów.

W sobotę umówiliśmy się o siódmej rano na lotnisku Haneda. Wolałabym pociąg, ale dla Japończyków pociąg jest doświadczeniem do tego stopnia codziennym, że Rinri potrzebował odmiany.

– Poza tym lecąc nad Hiroszimą, człowiek będzie się czuł tak, jakby siedział na pokładzie „Enola Gay” – powiedział.

Działo się to na początku czerwca. Pogoda w Tokio była idealna, piękna, dwadzieścia pięć stopni ciepła. W Hiroszynie było o pięć stopni więcej i w powietrzu czuło się już wilgoć sezonu deszczowego. Ale słońce nadal świeciło.

Już na lotnisku w Hiroszynie doświadczyłam bardzo osobliwego uczucia: to nie był rok 1989. Sama nie wiedziałam, w którym roku wylądowaliśmy; na pewno nie w czterdziestym piątym, ale gdzieś w okolicach lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych. Czyżby wybuch atomowy spowolnił upływ czasu? Nie brakowało tu nowoczesnych budowli, ludzie ubrani byli normalnie, samochody niczym się nie różniły od pojazdów w całej Japonii. To było coś takiego, jakby tutejsi ludzie żyli intensywniej niż gdzie indziej. Mieszkanie w mieście, którego nazwa całemu światu kojarzy się ze śmiercią, roznieciło w nich apetyt na życie, czego efektem było ogólne wrażenie optymizmu, odtwarzające klimat epoki, w której ludzie wierzyli jeszcze w przyszłość.

To spostrzeżenie bardzo mnie poruszyło. Hiroszima, wraz z jej przejmującą atmosferą odważnego szczęścia, głęboko mną wstrząsnęła.

W Muzeum Bomby Atomowej oniemiałam. Co z tego, że się wie; szczegóły tej historii przerastają wszelkie wyobrażenia. Ekspozycje są w nim przedstawione ze skutecznością graniczącą z poezją; na przykład ten pociąg zdążający 6 sierpnia 1945 roku wybrzeżem do Hiroszimy i wiozący między innymi porannych pracowników. Podróżni spoglądają ospale na miasto za oknami wagonu. Potem pociąg wjeżdża do tunelu, a kiedy z niego wyjeżdża, widzą, że Hiroszima już nie istnieje.

Chodząc ulicami tego prowincjonalnego miasta, rozmyślałam o japońskiej godności, znajdującej tu właśnie najbardziej przejmującą ilustrację. Nic, ale to nic, nie przypominało o męczeństwie miasta. Mam wrażenie, że w każdym innym kraju monstrualność zasięgu takiej zbrodni byłaby eksploatowana do upadłego. Kapitał krzywd, narodowy skarb tak wielu narodów, w Hiroszynie nie istniał.

Na ławkach w parku Pokoju całowali się zakochani. Nagle przypomniałam sobie, że nie podróżuję sama, i podporządkowałam się miejscowemu rytuałowi. Kiedy stało mu się zadość, Rinri wyjął z kieszeni książkę Marguerite Duras. Wyleciała mi z pamięci. On myślał tylko o niej. Przeczytał mi *Hiroszimę, moją miłość* na głos, od początku do końca.

Miałam wrażenie, że odczytuje mój akt oskarżenia i że powinnam wytłumaczyć się z postawionych mi zarzutów.

Zważywszy długość tekstu i spowalniający efekt japońskiego akcentu, miałam czas na przygotowanie obrony. Najtrudniej mi było powstrzymać śmiech, kiedy Rinri, zły, że nie rozumie, przeczytał: „Zabijasz mnie, uszczęśliwiasz mnie”. Nie zabrzmiało to tak jak w ustach Emmanuelle Rivy.

Kiedy dwie godziny później skończył, zamknął książkę i popatrzył na mnie.

– Wspaniale, prawda? – odważyłam się szepnąć.

– Nie wiem – odparł z kamienną twarzą.

Nie wyłgam się tak tanim kosztem.

– Trzeba było tupetu Duras, by postawić na równej stopie młodą Francuzkę ogoloną po Wyzwoleniu i ludność Hiroszimy.

– Ach tak? Więc to jest o tym? – zapytał Rinri.

– Tak. To książka sławiąca miłość, która padła ofiarą barbarzyństwa.

– Dlaczego autorka mówi o tym w taki dziwny sposób?

– To jest Marguerite Duras. W tym cały jej urok, że czuje się pewne sprawy, niekoniecznie je rozumiejąc.

– Ja nic nie poczułem.

– Poczuleś, byłeś zirytowany.

– To zamierzona reakcja?

– Duras to też lubi. To właściwa postawa. Kończąc jej książkę, człowiek czuje frustrację. Jak z ankieta, z której niewiele się zrozumiało. Dostrzegło się różne rzeczy przez szybę z mlecznego

szkła. Odchodzi się od stołu, będąc nadal głodnym.

– Jestem głodny.

– Ja też.

Okonomiyaki to specjalność Hiroszimy. Przyrządza się ją tutaj w ogromnych jadłodajniach na świeżym powietrzu, na gigantycznych płytach, znad których para rozplywa się w ciemnościach. Mimo stosunkowo chłodnego wieczoru kucharz obficie się pocił nad plackiem z kapustą, który smażył na naszych oczach. Krople potu były jednym ze składników arcydzieła. Tak wybornego *okonomiyaki* nie jedliśmy jeszcze nigdy. Korzystając z okazji, Rinri kupił od kucharza wielką ilość kartonów z sosem z gorzkich śliwek.

Pokój hotelowy stał się dla mnie potem okazją do zacytowania wielu odzywek z książki Duras. Tym razem Rinri zdawał się je bardziej doceniać. Trudno sobie wyobrazić, jakie ofiary gotowa byłam ponieść dla literatury francuskiej.

Na początku lipca przyjechała do mnie na miesiąc wakacji siostra. Na jej widok o mało nie umarłam z radości. Przez całą godzinę nic, tylko ścisaliśmy się, wydając zwierzęce pomruki.

Wieczorem pod domem w swoim białym mercedesie czekał Rinri. Przedstawiłam mu najcenniejszy skarb, jaki posiadałam. Oboje byli okropnie onieśmieleni. Na mnie spadł wysiłek prowadzenia rozmowy.

Kiedy znalazłyśmy się z Juliette same, zapytałam, co sądzi o Rinrim.

– Jest chudy – powiedziała.

– A poza tym?

Niewiele więcej od niej wyciągnęłam. Zatelefonowałam do Rinriego.

– I co o niej sądzisz?

– Jest chuda – powiedział.

Niewiele więcej od niego wyciągnęłam. Odrzuciwszy hipotezę o ukartowanej intrydze, w duchu oburzyłam się: i tylko tyle? Owszem, byli chudzi, bez wątplenia, ale poza tym? Nie mieli mi do powiedzenia nic bardziej interesującego? Mnie najbardziej uderzała w nich nie chudość, tylko uroda i magia u siostry, delikatność i oryginalność u Rinriego. Jednak w ich wspólnej uwadze nie było cienia wrogości; od razu przypadli sobie do gustu. Dzisiaj przyznaję im rację. Zastanawiając się nad przeszłością, stwierdzam, że wszyscy ludzie, którzy odegrali w moim życiu ważną rolę, byli chudzi. Nie była to oczywiście ich najważniejsza cecha, tylko jedyny wspólny punkt. To musi coś znaczyć.

Spotkałam, rzecz jasna, na swej drodze wielu chudzielców, którzy w najmniejszym stopniu nie wpłynęli na mój los. Mieszkałam zresztą w Bangladeszu, gdzie większość ludności jest wychudzona jak szkielety: jedno życie nie zdoła wchłonąć tylu innych egzystencji, choćby i najmizerniejszych. Ale na moim łożu śmierci wszystkie sylwetki, które powrócą do mnie w pamięci, będą niezwykle szczupłe.

Choć nie wiem, jakie można by przypisać temu znaczenie, skłonna jestem upatrywać w tym własny, świadomy bądź nie, wybór. W moich książkach istoty kochane są zawsze niebywale szczupłe. Z czego nie należy jednak wnioskować, że to mi wystarcza. Dwa lata temu pewna młoda pannica, której nazwisko przemilczę, zaoferowała mi swe wdzięki z powodów, których wolę nie znać. Widząc moją konsternację, pannica obróciła się na pięcie, by w pełni uwydatnić swoją szczupłość i, przysięgam, zapytała:

– Czyż nie przypominam jednej z pani bohaterek?

Było więc lato 1989 roku. Odprawiłam na miesiąc mojego chudego ukochanego; Juliette i ja wyruszyłyśmy w naszą prywatną pielgrzymkę.

Pociąg zawiózł nas do Kansai. Prowincja była równie piękna jak zawsze. Jednak nie życzyłam nikomu podobnej podróży. To cud, że przeżyłam tę udrękę. Bez obecności siostry nie zdobyłabym się nigdy na odwagę, by powrócić do miejsca naszego dzieciństwa. Bez obecności siostry w miasteczku Shukugawa umarłabym z rozpacz. Piątego sierpnia Juliette wróciła do Belgii. Przez wiele godzin siedziałam zamknięta i wyłam jak zwierzę. Wyrzuciwszy z piersi cały tkwiący w niej krzyk, zadzwoniłam do Rinriego. W dobroci serca przemilczał swoją radość, bo i wiedział, jak cierpię. Niedługo przyjechał po mnie biały mercedes.

Zawiózł mnie do parku Shirogane.

– Ostatnim razem byliśmy tutaj z Riką – powiedziałam. – Czy korzystając z mojej nieobecności, pojechałeś ją odwiedzić?

– Nie. Ona tam nie jest sobą. Tam odgrywa rolę.

– Co w takim razie robiłeś?

– Przeczytałem po francusku książkę o zakonie templariuszy – oświadczył w uniesieniu.

– Świetnie.

– Tak. I postanowiłem zostać jednym z nich.

– Słucham?

– Chcę być templariuszem.

Przez resztę spaceru wyjaśniałam Rinriemu niewczesność jego aspiracji. W Europie za panowania Filipa Pięknego miałyoby to sens. W 1989 roku w Tokio dla przyszłego dyrektora znanej szkoły jubilerskiej było niedorzecznością.

– Chcę zostać templariuszem – upierał się zmartwiony i Rinri. – Jestem pewny, że w Japonii jest już zakon templariuszy.

– Ja też, z tej prostej przyczyny, że w twoim kraju jest wszystko. Twoi rodacy są tak ciekawi, że obojętnie, jaką miałyoby się pasję, zawsze znajdzie się kogoś, z kim można ją dzielić.

– Czemu nie miałbym zostać templariuszem?

– Bo w dzisiejszych czasach pachnie to sektą.

Westchnął, pokonany.

– To może chodźmy na chiński makaron? – zaproponował mój postulant do zakonu templariuszy.

– Świetny pomysł.

Podczas posiłku próbowałam mu opowiedzieć *Królów przeklętych*. Najtrudniej było mu wytłumaczyć, na czym polega wybór papieża.

– Do dziś nic się nie zmieniło. Nadal zwołuje się konklawe, nadal kardynałowie siedzą razem zamknięci...

Porwana tematem, nie darowałam mu najdrobniejszych szczegółów. Słuchał, wsysając nitki makaronu. Zakończywszy wystąpienie, zapytałam:

– A co właściwie Japończycy myślą o papieżu?

Zwykle, kiedy zadawałam mu pytanie, zastanawiał się, zanim na nie odpowiedział. Tym razem nie zastanawiając się ani sekundy, odparł:

– Nic.

Zostało to powiedziane głosem tak beznamiętnym, że się roześmiałam. W jego zdecydowanym tonie nie było cienia zuchwałości, jedynie zwykle stwierdzenie faktu.

Od tego czasu, ilekroć zdarza mi się zobaczyć papieża w telewizji, myślę: „Oto człowiek, na temat którego sto dwadzieścia milionów Japończyków nic nie myśli”, które to stwierdzenie niezmiennie mnie rozśmiesza.

Skądinąd biorąc pod uwagę japońską ciekawość cudzoziemskich osobliwości, jest prawie pewne, że opinia Riniego dopuszcza liczne wyjątki. Myślę jednak, że postąpiłam słusznie, odwodząc od wstąpienia do zakonu templariuszy kogoś, kto przejawiał tak niewielkie zainteresowanie ich największym wrogiem.

- Jutro zabieram cię w góry – oznajmił przez telefon Rinri. – Załóż porządne trekkingi.
- Może to nie najlepszy pomysł – powiedziałam.
- Dlaczego? Nie lubisz gór?
- Uwielbiam góry.
- No to nasza umowa stoi – uciął, nieczuły na moje paradoksy.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, poczułam, jak ogarnia mnie rozgorączkowanie: wszystkie góry na świecie, a co dopiero w Japonii, rzucają na mnie zatrważający urok. Wiedziałam jednak, że przygoda niesie z sobą pewne ryzyko: powyżej wysokości tysiąca pięciuset metrów stawałam się kimś innym.

Jedenastego sierpnia otworzyły się przede mną drzwi białego mercedesa.

- Dokąd jedziemy?
- Zobaczysz.

Nigdy nie miałam specjalnych zdolności do ideogramów, ale zawsze potrafiłam odczytywać nazwy geograficzne. Podczas japońskich podróży talent ten bardzo mi się przydawał. I tak, po bardzo długiej jeździe, potwierdziły się moje przypuszczenia:

- Góra Fudzi!

Marzyłam o niej. Tradycja nakazuje, by każdy Japończyk przynajmniej raz w życiu wszedł na górę Fudzi, w przeciwnym razie okaże się niegodny przynależności do tak świetnego narodu. Ja, która gorąco pragnęłam zostać Japonką, uznałam tę wspinaczkę za genialny fortel na potwierdzenie tożsamości. Tym bardziej że góry były moim terytorium, moim żywiołem.

Zaparkowaliśmy samochód na gigantycznym parkingu urządzonym na platformie lawy, powyżej której żaden pojazd nie miał prawa się poruszać. Byłam pod wielkim wrażeniem mnogości samochodów, świadczącej o potrzebie ludzi dostąpienia tytułu prawdziwego Japończyka. Nie obowiązywały żadne procedury; trzeba było dostać się na wysokość trzech tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu sześciu metrów nad poziomem morza w ciągu jednego dnia, gdyż tylko u podnóża i na szczycie było gdzie zatrzymać się na noc. Tymczasem wśród tłumu tłoczącego się na starcie szlaku wspinaczki znajdowali się starcy, dzieci, matki z dziećmi na rękach – wypatrzyłam nawet kobietę w ciąży wyglądającej na ósmy miesiąc. Co świadczy o tym, że obywatelstwo japońskie ma ciągle wydźwięk heroiczny.

Popatrzyłam w niebo: więc to była ta słynna góra Fudzi. Nareszcie znalazłam lokalizację, z

której nie wyglądała oszalamiająco, z tej prostej przyczyny, że nie było jej widać: u jej podnóża. Bo inaczej ów wulkan jest cudownym wynalazkiem, widocznym niemal z każdego miejsca do tego stopnia, że zdarza mi się brać go za hologram. Trudno zliczyć na Honsiu miejsca, z których ma się wspaniały widok na górę Fudzi; łatwiej zliczyć te, z których jej nie widać. Gdyby nacjonaści zapragnęli stworzyć jakiś konfederacyjny symbol, wybudowałiby górę Fudzi. Nie sposób na nią patrzeć i nie odczuwać mitycznego, świętego ułucia w sercu; jest zbyt piękna, zbyt idealna, zbyt doskonała.

Z wyjątkiem podnóża, z którego to miejsca wygląda jak każda inna góra, zwykła bezkształtna wypukłość terenu.

Rinri był odpowiednio wyekwipowany: buty do wspinaczki, skafander kosmonauty, czekan. Popatrzył z politowaniem na moje trampki i dzinsy, powstrzymując się od komentarza, być może nie chcąc zadrażniać sprawy.

– Ruszamy? – zapytał.

Tylko na to czekałam; puściłam nogi w ruch, a one momentalnie mnie poniosły. Było południe, południe w słońcu i w mojej głowie. Wspinałam się uszczęśliwiona, że jeszcze tyle przede mną. Najtrudniejsze było pierwsze tysiąc pięćset metrów; podłoże stanowiła miękka lawa, w której grzęzły stopy. Powiada się, że chcieć to móc. Wszyscy chcieliśmy. Widok zasuszonych staruszków sunących gęsiego w górę budził respekt.

Powyżej tysiąca pięciuset metrów zaczynała się prawdziwa góra, z kamieniami i cudownie twardym podłożem, pocięta pasmami czarnego żwiru. Dotarłam na wysokość, na której zmieniam gatunek. Zaczekałam na Rinriego, który został dobre dwieście metrów za mną, i wyznaczyłam mu spotkanie na szczycie.

Potem powiedział:

– I wtedy nie wiem, co się stało. Zniknęłaś.

Mówił prawdę. Powyżej tysiąca pięciuset metrów znikam. Moje ciało zamienia się w czystą energię i nim ktokolwiek zdąży zastanowić się, gdzie jestem, nogi unoszą mnie już tak daleko, że staję się niewidzialna. Inni też posiadają tę właściwość, ale nie znam nikogo, u kogo byłoby to tak nieoczekiwane, jako że ni z daleka, ni z bliska, nie przypominam Zaratustry.

A właśnie nim się staję. Owładnięta nadludzką siłą, śmigam po prostej ku słońcu. W mojej głowie rozbrzmiewają hymny nie olimpijskie, ale z Olimpu. Herkules jest moim małym słabowitym kuzynkiem. A mówię tu tylko o greckiej gałęzi rodu. W końcu my, istoty o napędzie

mazdy, to przecież zupełnie co innego.

Być Zaratustrą to mieć zamiast stóp bogów, którzy pochłaniają górę i zamieniają ją w niebo, to mieć zamiast kolan katapulty, którym reszta ciała służy za pocisk. To mieć zamiast brzucha wojenny bęben, a zamiast serca perkusję triumfu, to mieć głowę wypełnioną radością tak przerażającą, że trzeba nadludzkiej siły, by ją zdzierżyć, to dysponować wszystkimi mocami świata z tej tylko przyczyny, że się je przyzwało i można je pomieścić w swojej krwi, to nie dotykać już ziemi z racji zażytego dialogu ze słońcem.

Przeznaczenie, słynne ze swego poczucia humoru, sprawiło, że urodziłam się Belgijką. Pochodzenie z równinnego kraju, kiedy się należy do zaratustryjskiego rodu, to zagranie na nosie, skazujące człowieka na bycie podwójnym agentem.

Zostawiłam hordy Japończyków w tyle. Niektórzy unosili wlepiony w ziemię wzrok, żeby popatrzeć na bolid. Starcy mówili: *Wakaimono* („młoda rzecz”) tonem wyjaśnienia. Młodzi nie wiedzieli, co powiedzieć.

Kiedy wyprzedziłam już wszystkich piechurów, zorientowałam się, że nie jestem sama. Pośród wspinaczy tego dnia znalazł się inny Zaratustra, który zapragnął mi się koniecznie przedstawić: żołnierz z amerykańskiej bazy na Okinawie, przybyły zobaczyć, jak to jest.

– Już zaczynałem myśleć, że mi odbiło – powiedział – ale przecież jesteś dziewczyną i wchodzisz tak samo jak ja.

Nie zamierzałam mu wyjaśniać, że jak świat światem, zawsze istniały istoty zaratustryjskie. Nie zasługiwał na przynależność do rodu; był gadatliwy i nieczuły na sacrum. We wszystkich rodzinach zdarza się taki rodzaj genetycznych defektów.

Widok stawał się coraz bardziej bajeczny; próbowałam mojemu amerykańskiemu kuzynowi otworzyć oczy na tę cudowność. Poprzestał na stwierdzeniu:

– *Yeah, great country.*

Domyślałam się, że taki sam entuzjazm wzbudziły w nim talerz naleśników.

Żeby się od niego uwolnić, wrzuciłam najwyższy bieg. Niestety, usiadł mi na ogonie, nie przestając powtarzać:

– That's a girll Był sympatyczny, to znaczy nie miał w sobie za grosz zaratustryjskości. Marzyłam o odzyskaniu samotności, by móc zaznać odpowiednich do sytuacji uniesień mazdo – wagnero-nietzscheańskich. Przy moim żołnierzu, który bez przerwy nadawał i pytał, czy Belgia to ten kraj tulipanów, było to niemożliwe. Jeszcze nigdy nie klęłam tak amerykańskiej obecności

wojskowej na Okinawie.

Na wysokości trzech tysięcy pięciuset metrów grzecznie poprosiłam, żeby się zamknął, wyjaśniając, że Fudzi jest górą świętą i chciałabym pozostałe siedemdziesiąt siedem metrów przebyć w skupieniu. *No problem*, odparł. Udało mi się oderwać mentalnie od jego towarzystwa i zakończyć wspinaczkę w stanie upojenia.

Na szczycie wyrzwał księżyc, otaczając olbrzymim kamiennym kołem otchłań krateru. Można było zachować równowagę, tylko chodząc po obwodzie okręgu. Kiedy się odwróciło, jak okiem sięgnąć rozciągała się równina japońska pod błękitnym niebem.

Była czwarta po południu.

– Co teraz zrobisz? – zapytał żołnierz.

– Zaczekam na mojego ukochanego.

Odpowiedź wywołała spodziewany efekt. Amerykanin od razu ruszył z powrotem na równinę. Odetchnęłam z ulgą.

Powędrowałam obrzeżem krateru. Miałam wrażenie, że obejście pełnego koła zajęłoby cały dzień. Nikt nie odważyłby się zapuścić na jego środek; wulkan był wygasły, ale nad tym kamieniołomem gigantów unosił się duch sacrum.

Usiadłam na ziemi twarzą do miejsca, przez które przybywali pielgrzymi. Nie wiem dlaczego, ale wszyscy wchodzili tym samym zboczem, mimo że góra ma kształt stożka. Możliwe, że powodował nimi wyłącznie japoński konformizm, pod którym się podpisywałam, ponieważ pragnęłam być Japonką. Oprócz mnie i Amerykanina nie zauważyłam żadnego cudzoziemca. Ze wzruszeniem obserwowałam starców, kiedy niezwykle godni, jakkolwiek zdumieni własnym wyczynem, wspierając się na kijkach, docierali na szczyt.

Jakiś osiemdziesięciolatek, który dotarł o osiemnastej, wykrzyknął:

– Teraz jestem Japończykiem godnym tego miana!

Tak więc wojna nie wystarczyła, by dostąpić nobilitacji. Uprawniało do tego jedynie pokonanie trzech tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu sześciu metrów.

W kraju, którego ludność byłaby mniej uczciwa, tyle ludzi przypisywałoby sobie oszukańczo zaliczenie owej wspinaczki, że konieczne byłoby otworzenie nad brzegiem krateru okienka, wydającego stosowne zaświadczenia. To akurat by mnie urządziło. Niestety, będę mogła tylko własnym słowem zaświadczyć o swym wyczynie; nie mam najmniejszych wątpliwości, że nic nie będzie warte.

Rinri dotarł na szczyt o osiemnastej trzydzieści.

– Tutaj jesteś! – wykrzyknął z ulgą.

– I to od dawna.

Osunął się na ziemię.

– Jestem padnięty.

– Tak więc teraz jesteś prawdziwym Japończykiem.

– Tak jakbym tego potrzebował, żeby nim zostać!

Odnotowałam różnicę punktu widzenia między osiemdziesięcioletnikiem a nim. Wyglądało na to, że przynależność narodowa utraciła sporo prestiżu.

– Nie możesz tak zostać – powiedziałam.

Pomogłam mu wstać i zaprowadziłam do długiego budynku schroniska, w którym można było załatwić miejsce do spania. Kiedy zaproponował mi herbatniki i napój w jaskrawym kolorze, przypomniałam, że wstajemy przed świtem, żeby obejrzeć wschód słońca.

– Jak to możliwe, że tak szybko weszłaś? – zapytał.

– Bo ja jestem Zaratustra – odparłam.

– Zaratustra. To ten, który tako rzecze?

– Ten sam.

Rinri bez zdziwienia przyjął informację, padł na posłanie i zasnął. Potrząsnęłam nim, żeby go obudzić, potrzebowałam jego towarzystwa; równie dobrze mogłam łaskotać nieboszczyka. Jak mogłoby mi się chcieć spać? Znajdowałam się na szczycie góry Fudzi, byłam zanadto rozemocjonowana, żeby zmrużyć oko. Wyszłam ze schroniska.

Równina tonęła w ciemnościach. W oddali jaśniał wielki, świetlisty grzyb: Tokio. Drżałam z zimna i emocji, oglądając na własne oczy ten japoński skrót: antyczna Fudzi i futurystyczna stolica.

Położyłam się na skraju krateru i spędziłam bezsenną noc, szcękając zębami od myśli, które tak bardzo mnie przerastały. W obozie wszyscy już zasnęli. Chciałam być tą, która zobaczy pierwsze zorze świtu.

Czekając na nie, ujrzałam niesamowity widok. Kiedy minęła północ, po zboczu góry zaczęły wspinać się świetliste procesje. Tak więc byli ludzie, którzy odważyli się na nocną wspinaczkę, zapewne chcąc uniknąć zbyt długiego przebywania w zimnie. Bo tak naprawdę obrządkiem, którego nie wolno było przegapić, był wschód słońca. Nieważne, czy się przybyło przed czasem,

czy nie. Ze łzami w oczach wpatrywałam się w powolne złociste gąsienice, sunące wężowym ruchem ku szczytowi. Na pewno nie składały się z atletów, tylko ze zwykłych ludzi. Jak nie podziwiać takiego narodu?

Około czwartej nad ranem, kiedy nadciągali pierwsi nocni piechurzy, na niebie pojawiły się smugi światła. Poszłam obudzić Rinriego, ten jednak wymamrotał, że jest już Japończykiem, i umówił się ze mną pod koniec dnia na dole, przy samochodzie. Pomyślałam: skoro ja zasługuję na bycie Japonką, on zasłużył sobie na bycie Belgiem, i wyszłam na dwór. Powoli formowała się już grupa oczekująca na pierwsze zwiastuny dnia.

Dołączyłam do niej. Ludzie stali i w najgłębszej ciszy wypatrywali pojawienia się słonecznej tarczy. Serce zaczęło mi mocno walić. Na letnim niebie ani jednej chmury. Za naszymi plecami krater wygasłego wulkanu.

Nagle na horyzoncie pojawił się strzęp czerwieni. Przez milczące zgromadzenie przeszło drżenie. A potem z szybkością w niczym nieumniejszającą majestatowi, z nicości wychynęła cała tarcza i zawisła nad równiną.

I wtedy wydarzyła się rzecz, której wspomnienie do dziś przyprawia mnie o dreszcz: z setek gardeł zgromadzonych, w tym mojego, wydarł się krzyk:

– *Banzai!*

Ten krzyk to litotes; dziesięć tysięcy lat nie wystarczyłoby do wyrażenia japońskiego poczucia wieczności, ożywionego tym widokiem.

Musieliśmy przypominać zlot skrajnej prawicy. A przecież obecni tam dzielni ludzie byli w równie niewielkim stopniu faszystami jak wy i ja. W rzeczywistości uczestniczyliśmy nie w ideologii, lecz w mitologii, i to z całą pewnością jednej z najskuteczniejszych na ziemi.

Oczami pełnymi łez wpatrywałam się w sztandar japoński, który powoli tracąc swą czerwień, rozlewał się złotem na bladym jeszcze lazurze. Byłam szczęśliwsza od Amaterasu. [Amaterasu - japońska bogini słońca (przyp. tłum.).]

Kiedy zbiorowa ekstaza nieco opadła, usłyszałam, jak jakiś mężczyzna mówi:

– Trzeba będzie schodzić. Moim zdaniem to trudniejsze niż wchodzenie. Podobno rekord schodzenia wynosi pięćdziesiąt pięć minut. Zastanawiam się, jak to możliwe, tym bardziej że w razie upadku, próba jest unieważniona: całą trasę trzeba przebyć na własnych nogach.

– To chyba oczywiste – odparł na to inny.

– Nie, podłoże jest tak śliskie, że dałoby radę zjechać na własnym zadku. Widziałem, jak

jedna starsza pani tak właśnie zrobiła.

– Chce pan powiedzieć, że to nie jest pana pierwsza wspinaczka?

– Już trzecia. I ciągle nie mam ich dość.

„Zasłużył sobie po wielokroć na obywatelstwo japońskie”, pomyślałam. Jego słowa nie trafiły do ucha głuchego.

Ustawiłam się twarzą do słońca i o godzinie punkt piąta trzydzieści, wyłączwszy hamulce, pomknęłam w dół zbocza. A to, co przeżyłam, było więcej niż wspaniałe: jedyną metodą uniknięcia upadku było mieć nogi w nieustannym ruchu, biec po lawie, umysłem nadążać za stopami, nawet przez sekundę nie przestając kontrolować własnego szaleństwa, śmiać się, żeby nie upaść podczas nieuniknionych poślizgów, dodatkowo przyspieszających tempo; byłam bolidem pędzącym w blasku wschodzącego słońca, byłam własnym tematem balistycznego studium, wrzeszczałam na cały głos, by obudzić wulkan.

Kiedy znalazłam się na parkingu, nie było jeszcze szóstej piętnaście: pobiłam rekord, i to sporo. Niestety, nie miałam go jak oficjalnie potwierdzić. Mój wyczyn pozostanie na zawsze tylko i wyłącznie prywatnym mitem.

Pod kranem z wodą obmyłam twarz poczerniałą od grudek lawy i ugasiłam pragnienie. Teraz pozostawało mi już tylko czekać na Rinriego. Wyglądało na to, że zajmie mi to sporo czasu. Na szczęście trudno o nudę, gdy człowiek przygląda się innym, zwłaszcza w Japonii. Usiadłam na ziemi i przez długie godziny wpatrywałam się ludzi, których uważałam niemal za rodaków.

Dochodziła chyba czternasta, kiedy dołączył do mnie Rinri. Wyglądał, jakby składał się cały z części zamiennych. Wstrzymując się od wszelkiego komentarza, odwiózł mnie do Tokio.

Następnego dnia przesłał mi bukiet dwudziestu dwóch czerwonych róż z dołączonym bilecikiem: „Drogi Zaratustra, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”. Przepraszał, że nie jest nadczołwiekiem, by mi je osobiście wręczyć. Obolałe nogi całkowicie mu odmówiły posłuszeństwa.

Kilka dni później Rinri oznajmił mi przez telefon, że jego rodzina wyjechała na tydzień. Poprosił, żebym się na ten okres do niego przeniosła.

Zgodziłam się, w równym stopniu ciekawa, co pełna obaw; dotąd nie spędziłam jeszcze tak długiego czasu w jego towarzystwie.

Przyjechał po mnie i moje manele. Kiedy znaleźliśmy się w betonowym zamku, onieśmielona zapytałam:

– Gdzie będę spała?

– Ze mną, w łóżku rodziców.

Zaprotestowałam przeciwko takiej niestosowności. Rinri zbył to wzruszeniem ramion.

– No wiesz, łóżko rodziców!

– I tak nie wiedzą – powiedział.

– Ale ja wiem.

– Chyba nie chcesz, żebyśmy spali na moim jednoosobowym wyrku? To byłoby piekło.

– Nie ma żadnej innej możliwości?

– Jest. W łóżku moich dziadków.

To był argument. Zważywszy odrazę, jaką budzili we mnie jego dziadkowie, z ulgą przystałam na łóżko rodziców.

Był to gigantycznych rozmiarów materac wodny. Tego typu pułapki były w modzie dobre dwadzieścia lat temu. Wszyscy znali ich cudowną niewygodę.

– Ciekawe – powiedziałam. – Takie łóżko zmusza do namysłu, zanim się wykona jakikolwiek ruch.

– Zupełnie jakbyśmy się znaleźli na łódce w filmie Johna Boormana *Wybawienie*.

– Właśnie. Wybawieniem jest wygramolenie się z niego.

Rinri, który zaplanował różne nadzwyczajne potrawy, zamknął się w kuchni. Wybrałam się na spacer po betonowym zamku.

Dlaczego nie mogłam się opędzić od przekonania, że śledzi mnie kamera? Od wrażenia, że podąża za mną czyjeś niewidzialne oko? Zrobiłam małą minę w kierunku sufitu, potem ścian: i nic. Nieprzyjaciel był sprytny, udawał, że nie zauważa mojego niestosownego zachowania. Ostrożnie.

Rinri zaskoczył mnie, kiedy pokazywałam język jakiemuś współczesnemu malowidłu.

– Nie lubisz Nakagamiego? – zdziwił się.

– Lubię. Jest wspaniały – odrzekłam ze szczerym entuzjazmem dla cudownego i niezrozumiałego płótna.

Musiał z tego wywnioskować, że Belgowie pokazują język obrazom robiącym na nich szczególne wrażenie.

Na stole czekały różne wyszukane dania: liście szpinaku z sezamem, przepiórcze jajka w galarecie z chiso, jeżowce. Zabrałam się do nich z apetytem, zauważyłam jednak, że Rinri nic nie jadł:

– A ty?

– Nie lubię tych dań.

– To czemu je przygotowałeś?

– Dla ciebie. Lubię patrzeć, jak jesz.

– Ja też lubię patrzeć, jak jesz – powiedziałam, zakładając ręce.

– Proszę, zjedz jeszcze coś, to takie piękne.

– Ogłaszam strajk głodowy, dopóki nie przyniesiesz sobie czegoś do jedzenia.

Cierpiałam katusze, sprawiając mu przykrość, ale jeszcze większe będąc zmuszoną powstrzymać się od pochłonięcia tych frykasów, które z nieodpartą siłą nęciły moje oczy.

Zasmucony Rinri poszedł do kuchni i przyniósł włosko – amerykańskie salami i słoik majonezu. „No nie, chyba tego nie robi?”. Ale zrobił: na każdy plaster salami nakładał centymetrową warstwę majonezu. Zemsta czy prowokacja? Udawałam obojętność i dalej rozkoszowałam się skarbami finezji, kiedy on, cmokając z zadowolenia, pożerał swój koszmar. Widząc moje zmartwiałe spojrzenie, zapytał ironicznie:

– Przecież chciałaś, żebym jadł?

– Jestem zachwycona – skłamałam. – Każde z nas je to, co lubi, i tak jest super.

– Chciałbym zaprosić wszystkich swoich przyjaciół, żeby cię poznali. Co ty na to?

Zgodziłam się. Spotkanie zostało wyznaczone za pięć dni.

Były wakacje. Nie ruszałam się na krok z betonowego zamku. Rinri traktował mnie jak księżniczkę. W salonie pod obrazem Nakagamiego ustawił mi biureczko z laki. Nigdy dotąd nie pisałam w takich warunkach, które zresztą wcale mi nie odpowiadały. W procesie tworzenia nie ma jak przybory najtańsze, jeśli nie wręcz z odzysku. Laka farbowała mi palce, plamiłam rękopis.

Rinri wpatrywał się we mnie ogłupiałym wzrokiem, moje pióro nieruchomiało. Wtedy on z błagalną miną dawał znak, żebym pisała dalej, ja zaś zgadywałam, że wystarczy mi pisać cokolwiek, by go uszczęśliwić. Jak bohater *Lśnienia* Kubricka, napisałam tysiąc razy, że popadam w obłąd. Ale w pobliżu nie było żadnej siekiery umożliwiającej kontynuowanie tego naśladownictwa.

Do tej pory jedyną znaną mi formą życia we dwoje było mieszkanie z siostrą. Ona jednak do tego stopnia stanowiła mój sobowtór, że nie było to właściwie życie we dwoje, ile raczej egzystencja bez pogoni za istotą idealną.

Z Rinrim poznawałam coś nowego, co obracało się wokół dzielenia z nim uroczego skrzepowania. Nasze wspólne życie było jak ten wodny materac, na którym spaliśmy: niemodne, niewygodne i zabawne. Więź między nami polegała na tym, że w rozbrajający sposób oboje czuliśmy się jednakowo nieswojo.

Za każdym razem Rinri, oświadczając, że jestem piękna, przerywał wszystko, co robiłam: musiałam zachować pozę, zawsze trochę dziwną. Rinri obchodził mnie wówczas wkoło, wydając różne wyrażające poruszenie „ochy i achy”. Nie mogłam tego zrozumieć. Któregoś dnia weszłam do kuchni, kiedy się tam krzątał, i skuszona widokiem pomidora, zatopiłam w nim zęby. Rinri wydał okrzyk; pomyślałam, że to jedna z jego słynnych ewokacji urody, i zastygłam w pół gestu. Ale on wyrwał mi pomidor, mówiąc, że zepsuje mi cerę. Uznałam, że w ustach kogoś, kto jada salami z majonezem, taka wypowiedź brzmi bzdurnie, i odebrałam mu pomidor. Z rozpaczą zaczął wzdychać nad nietrwałością bieli.

Czasami dzwonił telefon. Odbierał go w stylu japońskim, to znaczy mówiąc tak niewiele, że było to aż podejrzane. Rozmowy trwały co najwyżej dziesięć sekund. Nie znałam jeszcze tego japońskiego zwyczaju i znów zaczęło mi chodzić po głowie, że może należy do Yakuzy, na co by wskazywał jego nieskazitelnie biały mercedes. Jechał samochodem na zakupy, z których wracał po dwóch godzinach z trzema korzeniami imbiru. Za tymi sprawunkami musiało się coś kryć. Przecież poprzez swoją siostrę miał powiązania z kalifornijskim półświatkiem.

Później, kiedy jego niewinność nie budziła już najmniejszych wątpliwości, dowiedziałam się, że prawda była jeszcze bardziej niesamowita: on naprawdę potrzebował dwóch godzin, żeby wybrać trzy korzenie imbiru.

Czas powoli płynął. Mogłam swobodnie wychodzić, ale nawet o tym nie myślałam. Fascynowało mnie przebywanie w tym dostojnym miejscu. Kiedy Rinri wyruszał na swoje

tajemnicze eskapady, wołałam zostać i wykorzystać samotność na popełnienie jakiegoś brzydkiego czynku; kręciłam się po zamku z betonu, szukając okazji do narozrabiania, ale żadnej nie znajdowałam. Dla świętego spokoju pisałam.

Wracał. Witałam go ceremonialnie, tytułując *Danasama* (wasza wysokość, mój panie i władco). Protestował, skłaniając się nisko i nazywając się „moim niewolnikiem”. Po skończonych wygłupach pokazywał mi, co przyniósł.

– Trzy korzenie imbiru, cudownie! – zachwyciłam się.

Już się widziałam w roli uczestniczki kolokwium poświęconego żonom wielkich kryminalistów. „W jaki sposób dowiedziała się pani, że narzeczony jest bandytą?”

Starałam się rozgryźć jego zachowania, niektóre bardzo osobliwe. Ustawiał pośrodku salonu bambusowy cebrzyk wypełniony piaskiem. Wyglądał jego powierzchnię, a następnie stojąc, kreślił na niej stopą kabalistyczne znaki.

Kiedy próbowałam odcyfrować, co takiego pisze, zmieszany, zamazywał je piętą. To zdawało się potwierdzać hipotezę o przynależności do świata przestępczego. Udając naiwność, zapytałam, o co chodzi z tą kaligrafią.

– To pomaga mi się skoncentrować – odpowiedział.

– Skoncentrować na czym?

– Na niczym. Koncentracja jest zawsze potrzebna.

Nie wyglądało to na specjalnie skuteczne; był nieustannie rozkojarzony. W końcu ktoś mi to przypomniało.

– Podczas epizodu z cudzołżnicą Jezus kreśli stopą znaki na ziemi – oświadczyłam.

– Ach tak – skwitował z tą głęboką obojętnością, jaką budził w nim każdy temat związany z religią (z wyjątkiem, nie wiedzieć czemu, zakonu templariuszy).

– Czy wiesz, że na krzyżu świętym Rzymianie umieścili nad głową Jezusa napis INRI? Dodać jedną literę i będzie twoje imię.

I wyjaśniłam mu ten akronim. Udało mi się go tym zainteresować.

– Dlaczego ja mam jedną literę więcej? – zapytał.

– Może dlatego, że nie jesteś Chrystusem – podsunęłam.

– Albo Chrystus miał dodatkowy inicjał. Początkowe R mogło oznaczać ronina.

– Znasz wiele wyrażen łączących łacinę z japońskim? – spytałam ironicznie.

– Gdyby Chrystus dzisiaj wrócił, nie ograniczyłby się do mówienia tylko w jednym języku.

– Tak, ale nie mówiłby po łacinie.
– Czemu nie? W ten sposób mieszałyby epoki.
– I twoim zdaniem byłby roninem?
– Jak najbardziej. Zwłaszcza jak wisi na krzyżu i mówi: „Dlaczego mnie opuściłeś?”. Słowa godne samuraja, który utracił pana.
– Widzę, że to znasz. Czytałeś Biblię?
– Nie. Znalazłem w książce *Jak zostać templariuszem*.
Usłyszawszy ten tytuł, pomyślałam, że przybywam w samą porę.
– To istnieje japońska książka tak zatytułowana?
– Tak. Otworzyłaś mi oczy. Jestem samurajem Jezusem.
– Niby w czym przypominasz Jezusa?
– Przekonamy się. Mam dopiero dwadzieścia jeden lat.
Ta konkluzja, pozostawiająca mu wolną rękę, bardzo mnie rozbawiła.

Nadszedł dzień kolacji z jego przyjaciółmi. Już z samego rana Rinri, przepraszając, że musi mnie opuścić, zamknął się w kuchni.

Oprócz Hary i Masy nie wiedziałam, kogo spotkam. Obaj nie wyglądali mi na członków Yakuzy, ale Rinri również nie wyglądał. Może pozostali będą prezentowali się bardziej typowo.

Długo medytowałam przed ogromnym płótnem Nakagamięgo. Kontemplacja jego mrocznego splendoru wykluczała nawet najcichszą muzykę.

O godzinie osiemnastej zlany potem Rinri wychynął znad garnków i zaczął układać nakrycia na długim stole. zaproponowałam, że mu pomogę, ale nie pozwolił. Potem pognął pod prysznic i do mnie dołączył. O osiemnastej pięćdziesiąt pięć oznajmił, że przybyli goście.

– Słyszałeś ich? – zapytałam.

– Nie. Są zaproszeni na dziewiętnastą piętnaście. To znaczy że zjawią się o dziewiętnastej.

Dokładnie o godzinie dziewiętnastej syntetyczne uderzenie gongu potwierdziło tę punktualność. W drzwiach stało jedenastu chłopców, choć przecież nie zjawili się jedną gromadą.

Rinri zaprosił ich do środka, krótko przywitał i zniknął w kuchni. Hara i Masa uhonorowali mnie skinieniem głowy. Dziewięciu pozostałych przedstawiło się. Salon był akurat na tyle obszerny, by nas wszystkich pomieścić. Poczęstowałam ich piwem, przygotowanym przez Rinriego.

Wszyscy w milczeniu mi się przyglądali. Próbowałam nawiązać rozmowę z tymi, których już znałam, ale na próżno, potem z tymi, których jeszcze nie znałam, też bez powodzenia. W duchu błagałam Rinriego, żeby się pojawił i rozproszył swoją obecnością to skrępowanie. Ale przygotowania widocznie nie zostały jeszcze skończone.

Milczenie stało się do tego stopnia uciążliwe, że rozpoczęłam monolog na pierwszy lepszy temat, jaki mi przyszedł do głowy:

– Nigdy nie sądziłam, że Japończycy aż tak bardzo lubią piwo. Dziś wieczorem zyskałam potwierdzenie tego, co już wcześniej wiele razy zauważyłam: kiedy proponuje się wam coś do picia, zawsze wybieracie piwo.

Słuchali mnie uprzejmie i nic nie mówili.

– Czy w przeszłości Japończycy pili piwo?

– Nie wiem – odparł Hara.

Pozostali pokiwali głowami na znak potwierdzenia, że oni też nie wiedzą. Znowu zapadła cisza.

– My w Belgii też pijemy mnóstwo piwa.

Liczyłam, że Hara i Masa przypomną sobie mój prezent z poprzedniego spotkania i do niego nawiążą, ale nie. Więc znowu zabrałam głos i opowiedziałam wszystko, co wiedziałam o piwie w moim kraju. Jedenastu chłopców zachowywało się tak, jakby przyszli na wykład: słuchali w wielkim skupieniu; tylko patrzeć, jak któryś wyciągnie zeszyt i zacznie notować. Czułam się śmiesznie, delikatnie mówiąc.

Kiedy milkłam, zaczynało się to samo; jedenastu młodzieńców wyglądało na skrępowanych tą ciszą, ale żaden nie spieszył z pomocą. Od czasu do czasu poddawałam ich próbie, spychając aż po ostatnie okopy mutyzmu: upływało pięć minut, z zegarkiem w rękę, i żaden nie odezwał się nawet słowem. Kiedy już wszyscy osiągnęliśmy apogeum tortury, na nowo podejmowałam:

– Jest też Rodenbach, piwo czerwone. Nazywamy go piwem winnym.

Od razu swobodniej oddychali. W końcu poczułam nadzieję, że być może potraktują mnie jak prawdziwą prelegentkę i zaczną zadawać pytania.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy Rinri zaprosił nas do stołu. Zasiedliśmy na planie owalu ze mną pośrodku i wtedy zauważyłam, że zabrakło miejsca dla pana domu.

– Zapomniałeś nakryć dla siebie – szepnęłam.

– Nie.

Więcej się nie dowiedziałam, bo zaraz wycofał się do kuchni, skąd wrócił z półmiskiem różnych wspaniałości, który przed nami postawił: mniszek w cieście, liście chiso faszerowane pędami lotosa, kandyzowany bób aromatyzowany cedratem, smażone miniaturowe kraby do jedzenia w całości. Nalał każdemu czarkę ciepłej sake, po czym zniknął, zamykając za sobą drzwi kuchni.

I wtedy zrozumiałam: będę jedyną gospodynią tej kolacji. Rinri, niczym japońska żona, pozostanie zamknięty w miejscu przeznaczonym dla niewolników.

Najwyraźniej tylko mnie to dziwiło, chyba że uprzejmość gości nie pozwalała im okazać zaskoczenia. Finezję dań powitał pomruk uznania. Miałam nadzieję, że znakomita strawa rozwiąże im języki. Nic podobnego. Każde z dań spożywane było w nabożnej ciszy.

Pochwalałam taką postawę. Zawsze buntowałam się przeciwko przymusowi prowadzenia rozmowy w trakcie delectowania się różnymi gastronomicznymi cudami. Pomyślawszy, że Rinri ostatecznie mnie jednak uratował, skupiłam się i zabrałam do pałaszowania, więcej się nie odzywając.

Kiedy ocknęłam się z kulinarnego transu, zauważyłam, że współbiesiadnicy przyglądają mi się z minami pytającymi i nieco zakłopotanymi; zdawali się nie rozumieć, dlaczego przestałam się nimi zajmować. Postanowiłam urządzić strajk słowny. Chcą rozmawiać, to niech rozmawiają! Po tym wykładzie na temat belgijskiego piwa chyba miałam prawo odetchnąć i się posilić. Zdjęłam swój oratorski fartuch.

Rinri wszedł, żeby zebrać puste talerze i przynieść każdemu miseczkę z bulionem z orchidei. Gorąco pogratulowałam mu jego dokonań. Pozostali do tego stopnia zaakceptowali jego rolę japońskiej żony, że poprzestali na pochwalnym słówku. Niewolnik spuścił skromnie oczy i bez słowa umknął, by zamknąć się w swoim lochu.

Bulion z orchidei okazał się tyleż estetyczny, co pozbawiony smaku. Po jego kontemplacji nie było się już czym zająć. Milczenie znów stało się uciążliwe.

To wtedy Hara zwrócił się do mnie tymi niewiarygodnymi słowy:

– Tak więc skończyła pani na winnym piwie.

Z łyżką zastygłą w powietrzu zrozumiałam: zachęcano mnie do kontynuowania wykładu. A gwoli ścisłości, zdecydowano, że tego wieczoru ja jestem osobą zabawiającą rozmową.

Japończycy wymyślili niesamowite zajęcie: wodzireja konwersacji, konwersanta. Zauważyli, jaką plagą wszelkich kolacji jest ów obmierzły obowiązek prowadzenia rozmowy. W

średniowieczu podczas cesarskich uczt wszyscy milczeli i tak było dobrze. W dziewiętnastym wieku zetknięcie się ze zwyczajami zachodnimi skłoniło ludzi wytwornych do prowadzenia rozmów przy stole. Od razu też odkryli uciążliwość tego wysiłku, który przez pewien czas został przerzucony na gejsze. A że o te wkrótce zaczęło być coraz trudniej, pomysłowość japońska znalazła rozwiązanie, tworząc zawód wodzireja rozmowy.

Ten ostatni przed przystąpieniem do akcji każdorazowo otrzymuje materiały zawierające plan stołu oraz nazwiska gości. Do niego należy pozyskanie, w granicach przyzwoitości, informacji o każdym z nich. W trakcie posiłku taki konwersant, uzbrojony w mikrofon, obchodzi wokół uczujących, mówiąc: Obecny tu pan Toshiba, przewodniczący powszechnie znanej spółki, powiedziałby prawdopodobnie panu Sato, z którym byli na jednym roku studiów, że nie – i wiele się zmienił od tamtych czasów. Ten ostatni odpowiedziałby, że intensywna gra w golfa pomaga w zachowaniu formy, o czym wspomniał nie dalej jak miesiąc temu w „Asahi Shimbun”. A pan Horie zasugerowałby, żeby pan Sato w przyszłości udzielał wywiadów raczej „Mainichi Shimbun”, którego on, pan Horie, jest redaktorem naczelnym...

Taka paplanina, z pewnością niezbyt interesująca, choć i wcale nie bardziej niż rozmowy podczas naszych europejskich kolacji, ma ten niezaprzeczalny plus, że pozwala gościom biesiadować w spokoju, bez zmuszania się do pro – s wadzenia konwersacji. Najdziwniejsze jednak jest to, że konwersanta się słucha.

– W Brukseli nadal chałupniczymi metodami produkowane jest piwo *gueuse*... – powiedziałam.

Stało się. Przyjaciele Rinriego od razu okazali zadowolenie. Szczepienie napoju zbożowego drożdżami naturalnymi wzbudziło w nich fascynację o tyle większą, że wcześniej nastąpiła przerwa. Po cichu żałowałam, że nie należę do związku zawodowego: byłam konwersantką, która, i szczyt wszystkiego, nie dostawała zapłaty, nie otrzymałam i żadnych materiałów na temat tych ludzi; jak mam w ta – s kich warunkach wykonywać pracę?

Jednak dzielnie ją wykonywałam, w duchu obiecując E Rinriemu, że nie ujdzie mu to płazem. On tymczasem ze – : brał miseczki po bulionie z katlei, po czym, ku mojemu najwyższemu rozżaleniu, postawił przed każdym biesiadnikiem talerz z *chawan mushi*. Oddałabym matkę i ojca za ten krem z owoców morza i czarnych grzybów w wywarze rybnym, który powinno się spożywać bardzo gorący, wiedziałam jednak, że nie skosztuję ani krztyny, ponieważ wyjaśniałam właśnie, dlaczego Orval jest jedynym piwem trapistów, które należy pić

w temperaturze pokojowej.

Była to belgijska wersja Ostatniej Wieczerzy, na której Chrystus, dzierżąc kielich wypełniony nie winem, lecz piwem, mówił: „Oto moja krew, małe jasne nowego i wiecznego Przymierza, która za was będzie przelana i za odpuszczenie grzechów, co czyńcie na pamiątkę mojej ofiary, ponieważ kiedy wy obżeracie się małżami, inni harują, a ten trzynasty, który ukrywa się za garnkami i nie ma nawet śmiałości, by przyjść i złożyć na mej twarzy pocałunek Judasza, czekając, nic nie traci”.

Tenże, który miał śmiałość mienić się samurajem Jezusem, przyniósł deser, herbacianą galaretkę, której barwy nawet nie zobaczyłam, gdyż perorowałam właśnie:

– Wiele z piw, o których dzisiejszego wieczoru mówiłam, znajduje się w sprzedaży w sieci Kinokunya, a niektóre z nich można dostać nawet w supermarkecie Azabu.

Zostałam nagrodzona czymś więcej niż burzą oklasków; stwierdziłam, że kończą posiłek w stanie głębokiego komfortu psychicznego, kołysani tłem dźwiękowym, który zapewnił im mój wykład. Osiągnęli ten poziom dosytu zmysłów, jakim może napęlić rozkoszowanie się ucztą w absolutnym spokoju. Do czegoś się przydałam.

Następnie Rinri poprosił, żebyśmy przeszli do salonu na kawę i tam do nas dołączył. Kiedy tylko znalazł się wśród nas, goście z powrotem stali się dwudziestoletnimi chłopakami, którzy przyszli spędzić wieczór z kolegą; najnaturalniej w świecie zaczęli gawędzić, śmiać się, słuchać Freddy'ego Mercury, palić papierosy i rozwalać się z wyciągniętymi nogami. A ja, która przed chwilą musiałam stawić czoło milczeniu jedenastu nienagannie sztywnych bonzów, poczułam ogarniające mnie zniechęcenie.

Zwaliłam się na kanapę, padnięta, jakbym wypila wszystkie te piwa, o których mówiłam, i do chwili odwrotu najeźdźców nie odezwałam się słowem. Miałam ochotę udusić Rinriego; wystarczyło, żeby zaszczycił nas swoją obecnością w ciągu trzech poprzednich godzin, a oszczędziłby mi tej katongi. Jak go nie zamordować?

Kiedy natręci się pożegnali, wzięłam głęboki oddech, aby zachować spokój.

– Dlaczego zostawiłeś mnie z nimi samą na całe trzy godziny?

– Żebyście mogli się poznać.

– Mogłeś mi wytłumaczyć, jak mam się zachować. Mimo moich wysiłków, nie odezwali się słowem.

– Uznali cię za bardzo zabawną. Cieszę się: moi przyjaciele cię lubią i wieczór wypadł

genialnie.

Zniechęcona, zamilkłam.

Rinri chyba zrozumiał, bo na koniec powiedział:

– Na weekend zapowiadają nadejście tajfunu. Dziś mamy piątek, rodzice wracają w poniedziałek. Jeśli chcesz, spuszczę żaluzje i nie podniosę ich do poniedziałku. Zabarykaduję drzwi. Nikt więcej nie wejdzie, nikt nie wyjdzie.

Plan bardzo mi się spodobał. Rinri opuścił zwodzony most i nacisnął guzik uruchamiający żaluzje. Świat zewnętrzny przestał istnieć.

Trzy dni później rzeczywistość upomniała się o swoje prawa. Otworzyłam okna i wytrzeszczyłam oczy.

– Rinri, chodź, zobacz.

Ogród był spustoszony. Drzewo sąsiadów zważyło się na dach domu, wyrwijając dachówki. W ziemi ziała wielka szczelina.

– Jakby zawitał do nas Godzilla – powiedziałam.

– Chyba tajfun był silniejszy, niż zapowiadano. Myślę, że było trzęsienie ziemi.

Popatrzyłam na niego, powstrzymując wesołość. Posłał mi szybki i powściągliwy uśmiech. Doceniłam to, że nie stara się koloryzować.

– Usuńmy ślady naszego pobytu z sypialni rodziców – powiedział tylko.

– Pomogę ci.

– Raczej się ubierz. Przyjeżdżają za kwadrans.

Kiedy on czyścił stajnie Augiasza, nałożyłam najłżejszą z moich sukienek: panował przytłaczający upał.

Z podziwu godną skutecznością Rinri w rekordowym tempie przywrócił dom do stanu wyjściowego i stanął przy mnie, by powitać rodzinę.

Wygłosiliśmy zwyczajowe formuły, nisko się skłaniając, kiedy dziadkowie i matka, wytykając mnie palcami, zaczęli wyć ze śmiechu. Ledwo żywa ze wstydu obejrzałam się od stóp do głów, zastanawiając się, co mam w sobie tak specjalnego, ale nic nie zobaczyłam.

Starcy podeszli i dotykając skóry moich nóg, wykrzykiwali:

– Shiiroi hashil Shiiroi hashil – Tak, moje nogi są białe – wyjąkałam.

Matka uśmiechnęła się ironicznie i powiedziała:

– U nas dziewczyna, która nosi krótką sukienkę, zakłada rajstopy, zwłaszcza jeśli ma takie białe nogi.

– Rajstopy w taki upał? – zawołałam.

– Tak, w taki upał – potwierdziła zimno.

Ojciec uprzejmie zmienił temat rozmowy, spoglądając na ogród.

– Byłem przygotowany na większe szkody. Na wybrzeżu tajfun zabił dwanaście osób. W Nagoya nic nie poczuliśmy. A wy?

– Też nic – odpowiedział Rinri.

– Ty jesteś przyzwyczajony. Ale czy pani, Amélie, się nie bała?

– Nie.

– Odważna z pani dziewczyna.

Kiedy rodzina z powrotem obejmowała w posiadanie dom, Rinri odwiózł mnie do mojego mieszkania. Im bardziej się oddalaliśmy od zamku z betonu, tym silniejsze miałam wrażenie powrotu do rzeczywistego świata. Przez siedem dni żyłam z dala od zgiełku miasta, za cały widok mając tylko ogródek zen i mroczne płótno Nakagamiego. Byłam traktowana jak rzadko która księżniczka. W porównaniu z tym Tokio wydało mi się swojskie.

Tajfun i trzęsienie ziemi nie pozostawiły żadnych widocznych śladów. Tam są to zwykłe rzeczy.

Skończyły się wakacje. Wróciłam do nauki japońskiego.

Wrzesień wydał mnie na żer komarom. Musiała im przypaść do gustu moja krew, bo wszystkie się do mnie zlatywały. Rinri zauważył to zjawisko i stwierdził, że jestem najlepszą ochroną przed tą egipską plagą: moje towarzystwo działa jak piorunochron.

Na próżno smarowałam się płynem z melisy i różnymi obrzydliwymi maściami, moja atrakcyjność dla nich przeważała. Pamiętam takie szalone wieczory, kiedy oprócz duchoty musiałam znosić jeszcze niezliczone ukąszenia. Trochę ulgi przynosił mi spirytus kamforowy. Szybko odkryłam jedyny na to sposób: pogodzić się z losem. Wytrzymywać swędzenie, w żadnym wypadku się nie drapać.

Znoszenie tego, co nie do zniesienia, zaowocowało wdzięcznym uczuciem: swędzenie zaakceptowane koniec końców wprawiało w stan uniesienia duszę i napełniało poczuciem heroicznego szczęścia.

W Japonii dla obrony przed komarami pali się *katorisenko* nigdy nie wiedziałam, z czego zrobione są te małe zielone spiralki, których dym odpędza insekty. Ja również je zapalałam, już choćby dla uroku tego dziwnego kadzidełka, lecz moja siła przyciągania była tak wielka, że nie dawały się zbyć takim drobiazgiem. Odbierałam ogromny ładunek miłości od tego bzyżącego gatunku z rezygnacją, która, gdy tortura minęła, zamieniała się w łaskę. Czułam przyjemne łaskotanie krwi; na dnie tego, co uporczywie dręczy, kryje się rozkosz.

Dzięki temu doświadczeniu rozumiałam świątynie poświęcone komarom, które dziesięć lat wcześniej widziałam w Indiach: w ich ścianach znajdowały się zapadłe drzwi, przez które wierni wystawiali plecy na tysiące jednoczesnych ukąszeń. Zawsze mnie zastanawiało, jak komary mogły gryźć w takiej ciżbie, przewyższającej, i to znacznie, ścisk podczas orgii, a także – jak można było kochać owe skrzydlate bóstwa aż do tego stopnia, żeby wydawać im samego siebie na żer. Ale najbardziej fascynujące było wyobrażanie sobie pleców całych w bąblach po tych bachanaliach insektów.

Nigdy, rzecz jasna, nie posunęłabym się do zadania sobie takiej tortury. Ale odkrywałam, że z entuzjazmem można się jej poddać – by z własnej krwi urządzić ucztę skrzydlatym żyjątkom.

Doświadczenie to wzmocniło mój stoicyzm: powstrzymanie się od drapania jest doskonałą szkołą dla duszy. Co nie zmienia faktu, że bywa niebezpieczne. Którejś nocy jad komarów do tego stopnia otumaniał mi umysł, że z niewyjaśnionych powodów wylądowałam nago przed własnym domem o godzinie drugiej nad ranem. Uliczka jakimś cudem była pusta i nikt mnie nie

zobaczył. Kiedy tylko odzyskałam przytomność, wróciłam do mieszkania. Bycie kochanką tysięcy japońskich insektów miało swoje konsekwencje.

W październiku upał zelżał. Zaczęła się jesień w całym swym zwodniczym splendorze. Zapytana, o jakiej porze roku najlepiej odwiedzić Japonię, odpowiadam zawsze: w październiku. Doskonałość estetyki i klimatu ma się wtedy zapewnioną.

Japoński klon przewyższa urodą kanadyjski. Komplementując moje ręce, Rinri uciekał się do tradycyjnej formuły:

– Twoje dłonie są doskonałe jak liść klonu.

– O jakiej porze roku? – pytałam, zastanawiając się, czy za najpiękniejsze uchodzą zielone, żółte czy czerwone.

Zaprosił mnie, żebym obejrzała jego uniwersytet, w którym nie było niczego ciekawego z wyjątkiem ogrodów, faktycznie wartych zobaczenia. Założyłam długą sukienkę z czarnego aksamitu, tak bardzo pragnęłam dorównać ślicznym studentkom japońskim, które niechybnie tam spotkam.

– Ubrałaś się jak na bal – zauważył Rinri.

Obok jedenastu renomowanych uniwersytetów w Japonii istniało blisko tysiąc uczelni tak przystępnych, że nazywano je „uniwersytetami dworcowymi”, ponieważ było ich tyle, ile dworców, a to coś znaczy w tym kraju kolei. Miałam więc okazję poznać jeden z nich, ten, na którym Rinri spędzał kilka lat wakacji.

Była to luksusowa kolonia, po której snuli się młodzi ludzie bez zajęcia. Dziewczęta nosiły stroje tak ekscentryczne, że byłam przy nich niewidzialna. Nad całym miejscem unosiła się łagodna aura sanatorium.

Od wieku trzech do osiemnastu lat Japończycy uczą się jak opętani. Od dwudziestu pięciu do emerytury pracują jak katorżnicy. Między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia mają silną świadomość pełni życia: wtedy mogą rozwinąć skrzydła. Nawet ci, którym udało się zdać koszmarny egzamin wstępny na któryś z jedenastu poważnych uniwersytetów, mogą nieco odetchnąć: tak naprawdę ważna była ta pierwsza selekcja. Co dopiero mówić o studentach uniwersytetów dworcowych.

Rinri posadził mnie na murku i usiadł obok.

– Spójrz, jaki piękny stąd widok na naziemne metro. Tutaj przychodzę obserwować je i marzyć.

Wyraziłam uprzejmy podziw, po czym zapytałam:

– Miewacie tu czasami wykłady?

– Tak. Chodzimy na nie.

– Wykłady z czego?

– Hmm... To trudno powiedzieć.

Zaprowadził mnie do wypełnionej światłem sali, w której tu i ówdzie tkwili ospali studenci.

– Wykłady z cywilizacji – odpowiedział wreszcie.

– Jakiej cywilizacji?

Głęboki namysł.

– Amerykańskiej.

– Myślałam, że studiujesz romanistykę.

– Tak. Cywilizacja amerykańska jest ciekawa.

Zrozumiałam, że dyskusja toczy się poza wszelką logiką.

Do sali wszedł profesor w średnim wieku i zajął miejsce na katedrze. Kiedy próbuję przypomnieć sobie jego wykład, powraca do mnie tylko to: że mówił o tym i o owym. Studenci słuchali go z niewzruszoną powagą. Moja obecność zdawała się go krępować, bo po skończonym wykładzie podszedł do mnie i powiedział:

– Nie mówię po angielsku.

– Jestem Belgijką – odparłam.

To go chyba nie uspokoiło. Dla niego Belgia musiała być jednym z tych nieznanych stanów amerykańskich, o których nikt nigdy nie wspomina, typu Maryland. Jak nic, zjawiłam się po to, żeby skontrolować jego informacje, stąd ta nieufność.

– Bardzo interesujące – ocenił Rinri ten wykład na nieokreślony temat.

– Aha, czy teraz masz następny?

– Nie – prawie się przeraził na myśl, że można by jeszcze więcej pracować.

Zauważyłam, że nie zaprzyjaźnił się z żadnym z młodych ludzi ze swojej uczelni.

– Tak rzadko się widujemy – powiedział.

Oprowadził mnie jeszcze po pięknym kampusie i pokazał wszystkie miejsca, z których rozciągał się rozległy widok na naziemne metro.

Ten krótki wgląd w studia Rinriego sprawił, że jego rozkład dnia wydał mi się jeszcze bardziej zagadkowy. Z niejasnego stał się podejrzany.

Kiedy wieczorem pytałam, co robił w ciągu dnia, odpowiadał, że był bardzo zajęty. Nie sposób było się dowiedzieć czym. Co najlepsze, on sam chyba nie za bardzo wiedział.

Kiedy minęła mi paranoja, zrozumiałam, że lata uniwersyteckie są jedynymi, kiedy Japończycy mogą sobie pozwolić na cudowny luksus trwonienia czasu. Ich życie szkolne, włącznie z wakacjami, jest tak wypełnione zajęciami, a ich życie zawodowe będzie poddane takiemu dyktatowi czasu, że oaza studenckich lat jest sumiennie wykorzystywana na robienie rzeczy nieokreślonych, luźnych, jeśli nie wręcz na rozkoszne nieróbstwo.

Mieliśmy z Rinrim swój ulubiony film: *Tampopo* reżysera Juzo Itami, opowiadający o przygodach pewnej młodej wdowy poszukującej wśród prostego ludu przepisu na najlepszą zupę makaronową. Jest to jeden z najśmieszniejszych, najdowcipniejszych i najrozkoszniejszych filmów, jakie kiedykolwiek powstały.

Oglądaliśmy go wspólnie wiele razy i często próbowaliśmy odgrywać niektóre sceny.

Chodzenie do kina w Tokio było dość kłopotliwe. Z założenia nie różniło się od doświadczeń europejskich czy amerykańskich. Ludzie zasiadali w wielkich wygodnych salach, zaczynał się seans, zapowiedzi, reklamy, niektórzy szli do toalety, lecz żeby nie stracić miejsca, ostentacyjnie zostawiali na nim swój portfel. Przypuszczam, że po powrocie nie brakowało w nim ani jena.

W filmach nie było żadnej pruderii, najbardziej ostre kawałki leciały na ekranie bez żadnych ostrzeżeń ani białych kwadratów; Japończycy nie są świętoszkami. Jednak kiedy pojawiała się naga kobieta, jej włosy łonowe zasłaniała chmurka; seks nie był problemem, ale owłosienie przeszkadzało.

Reakcje widzów bywały czasem zaskakujące. W jednej z sal wyświetlali *Ben Hura*; do mojej namiętności do peplum doszła jeszcze ta ciekawostka, że obejrzą je w Tokio.

Zabrałam na ten film Rinriego. Zachwyciły mnie japońskie podpisy pod dialogami Ben Hura i Messali – w gruncie rzeczy po japońsku nie były wcale bardziej niedorzeczne niż po amerykańsku. Jedna ze scen przedstawia narodziny Jezusa i nadprzyrodzoną światłość na niebie, która sprowadza Trzech Króli. Z tyłu usłyszałam, jak jakaś zachwycona rodzina krzyczy: „UFO! UFO!”. Najwyraźniej pojawienie się w tym judeo-rzymskim świecie ufoludków wcale im nie przeszkadzało.

Rinri zabrał mnie na stary wojenny film *Tora! Tora! Tora!* Grali go w małej dziwnej salce i publiczność też nie była typowa. Co nie zmienia faktu, że podczas słynnej sceny bombardowania Pearl Harbour przez lotnictwo japońskie większość widzów klaskała. Zapytałam Rinriego, dlaczego chciał, żebym to obejrzała.

– To jeden z najbardziej poetyckich filmów, jakie znam – odparł ze śmiertelną powagą.

Więcej nie pytałam. Ten chłopak nieustannie zbijał mnie z tropu.

W listopadzie na tokijskie ekrany wszedł film *Niebezpieczne związki* Anglika Stephena Frearsa. Adaptacja jednej z moich najulubieńszych powieści dokonana przez jednego z moich najulubieńszych reżyserów była dla mnie wielką pokusą. Rinri nie czytał książki i nie wiedział, o

co w niej chodzi. W premierowy wieczór sala była wypełniona po brzegi. Publiczność tokijska, którą często słyszałam pokładającą się ze śmiechu na filmach pełnych przemocy, przed markizą de Merteuil zastygła ze zgrozy. Ja natomiast od początku do końca byłam tak wniebowzięta, że z trudem powstrzymywałam jęki uniesienia. To było zbyt doskonałe.

Kiedy opuszczałam salę w stanie najwyższej ekstazy, spostrzegłam, że Rinri płacze. Posłałam mu pytające spojrzenie.

– Ta biedna kobieta... ta biedna kobieta... – powtarzał, szlochając.

– Która?

– Ta dobra.

I wtedy zrozumiałam: Rinri przez cały film utożsamiał się z panią de Tourvel. Nie odważyłam się zapytać, z jakiego powodu; za bardzo bałam się tego, co odpowie. Próbowałam go wydobyć z jego szalonego wcielenia.

– Nie utożsamiaj się tak. Ten film nie opowiada o tobie. Nie uważasz, że był niesamowicie piękny? Ta jakość obrazów i ten aktor, który grał główną rolę...

Mogłam sobie gadać. Rinri, zalewając się łzami, przez godzinę powtarzał histerycznie:

– Ta biedna kobieta...

Nigdy nie widziałam go w takim stanie i nigdy już nie zobaczyłam. „Przynajmniej nie pozostał obojętny”, pomyślałam.

W weekend w połowie grudnia wybrałam się sama w góry. Rinri rozumiał, że towarzyszenie mi na obszarach, gdzie byłam niedościgniona, niczemu nie służy. Od dawna nie wyjeżdżałam nigdzie bez niego i cieszyła mnie ta perspektywa. A przede wszystkim płonęłam z niecierpliwości, by móc nareszcie pochodzić po japońskich górach w śniegu.

Po półtoragodzinnej jeździe pociągiem z Tokio wysiadłam w wiosce w dolinie, skąd zaczynało się podejście na niezbyt znaną Kumotori Yama. Jak na pierwszą samotną wyprawę zimą, górę wysokości niespełna dwóch tysięcy metrów uznałam za rozsądny wybór. Na mapie szlak sprawiał wrażenie bardzo łatwego, obiecywał też niczym niezakłócony widok na górę Fudzi, teraz moją przyjaciółkę.

Innym kryterium wyboru była jej nazwa: Kumotori Yama oznacza „góra chmury i ptaka”. W takim toponimie mieścił się obrazek, który od razu zapragnęłam poznać. Tym bardziej że tokijski ścisk budził fantazmy o pustelnicznym życiu, dla którego wysokość była idealną klapą

bezpieczeństwa.

Żadne opowieści nie oddadzą tego, jak górzystym krajem jest Japonia. Z tego powodu dwie trzecie jej powierzchni to obszary praktycznie niezamieszkałe. W Europie góry to tereny bardzo uczęszczane, nieraz miejsca ożywionego życia towarzyskiego, czego dowodem niezliczona ilość snobistycznych kurortów. W Japonii stacje narciarskie należą do rzadkości; żadna osiadła populacja nie zamieszka w górach, będących królestwem czarownic i śmierci. To dlatego w Imperium przetrwała pierwotna natura, o której zbyt rzadko się wspomina.

Ja sama musiałam przezwyciężyć strach przed zapuszczeniem się w nie bez żadnej eskorty. W dzieciństwie moja ukochana japońska niania opowiadała mi historie o Yamambie, najwredniejszej ze wszystkich *onibaba* (czarownic), która siała postrach w górach: chwyciła samotnych wędrowców i robiła z nich zupę – zupa z samotnych wędrowców, wywar a la Rousseau, do tego stopnia nawiedzała moją wyobraźnię, że byłam przekonana, iż znam jej smak.

Na mapie wypatrzyłam schronisko w pobliżu szczytu, w którym planowałam spędzić noc, oczywiście jeśli nie wyląduję wcześniej w kociołku Yamamby.

Opuściłam wioskę, kierując się w pustkę. Ścieżka przyjemnie biegła pod górę przysypana śniegiem; z niemądrą radością sułtana od razu zauważyłam, że śnieg jest dziewiczy. Tego sobotniego poranka nikt jeszcze nie szedł tym podejściem. Do wysokości tysiąca metrów miałam uroczy spacer.

Raptem iglasto-liściasty las urwał się, odkrywając przede mną niebo pełne ostrzeżeń, które zbagatelizowałam. Moim oczom ukazał się jeden z najpiękniejszych pejzaży świata: długie zbocze w kształcie trapezowej spódnicy, pokryte ośnieżonym bambusowym lasem. Cisza odesłała mi w niezmiennym brzmieniu mój okrzyk zachwytu.

Od zawsze darzyłam bambus bezgraniczną miłością, tę hybrydę, której Japończycy nie zaliczają ani do drzew, ani do roślin, a która łączy wdzięczną giętkość z elegancją gęstwiny. Lecz żaden jeszcze bambus w moich wspomnieniach nie osiągnął tego niesamowitego splendoru co tamten ośnieżony las. Mimo wiotkości każdy pęd obciążony był śniegiem, każdy wierzchołek zwieńczony bielą; przypominały młodziutkie dziewczęta obarczone przedwcześnie jakimś świętym posłannictwem.

Przeprowiłam się przez las jak człowiek stąpający po ziemi innego świata. Poczucie czasu zastąpiło uniesienie; sama nie wiem, ile czasu zajęło mi pokonywanie tego zbocza.

Kiedy dotarłam do jego skraju, trzysta metrów powyżej ujrzałam wierzchołek Kumotori

Yama. Wydał mi się zupełnie blisko, nie tak blisko jednak jak ocieżała od śniegu chmura, która zawisała przy jego lewej ścianie. Brakowało już tylko ptaka dla uwiarygodnienia jej nazwy; ja będę tym ptakiem niezważającym na niebezpieczeństwo. Podążałam jak strzała ku temu aż nazbyt dostępnemu szczytowi, w duchu mówiąc sobie, że tysiąc dziewięćset metrów wysokości to dobre dla mięczaków i że już nigdy więcej nie będę tak nie doceniała własnych możliwości.

Ledwie zdążyłam dotrzeć do szczytu, kiedy, doceniwszy moją ptasią naturę, chmura do mnie dołączyła, by dopełnić etymologiczne przeznaczenie góry. Kryła się w niej zamieć śnieżna; nie było widać nic oprócz wirujących płatków. Oczarowana, usiadłam na ziemi, by obejrzeć ów spektakl. Wspinałam się z wielką szybkością, byłam okropnie zgrzana, rozkoszą było wystawić gołą głowę na tę lodowatą mannę. Nigdy jeszcze nie widziałam tak gęstego śniegu; jego natarcie było tak ostre i tak uporczywe, że z trudem można było zachować otwarte oczy. „Jeśli chcesz poznać sekret śniegu, to tu i teraz: znalazłaś się w samym centrum jego produkcji”. Szpiegostwo przemysłowe okazało się jednak niemożliwe; nie ma nic bardziej tajemniczego niż coś, co rozgrywa się na naszych oczach.

Nie wiem, czy chmura upatrzyła sobie tak mnie czy wierzchołek, ale nie ustępowała. Nagle zorientowałam się, że mam włosy równie białe, co lodowata broda ozdabiająca mi podbródek; musiałam wyglądać jak sędziwy eremita.

„Ukryję się w schronisku”, pomyślałam i prawie natychmiast przypomniałam sobie, że żadnego schroniska po drodze nie widziałam. Jednak na mapie było zaznaczone nieco poniżej. Mapa pochodziła z zeszłego roku; czyżby Yamamba zdążyła przez ten czas zniszczyć szłaś? Natychmiast ruszyłam go szukać. Burza śnieżna przybrała na sile i okrywała teraz całą górę; nie mogłam się wydostać z zamieci. Schodziłam serpentyną dookoła wierzchołka, chcąc mieć pewność, że nie przeoczę celu poszukiwań. Ledwie widziałam końce własnych wyciągniętych przed siebie ramion. Ten żwawy lunatyzm zdawał się nie mieć końca.

Moje palce napotkały coś twardego: schronisko. „Uratowana!”, zawołałam. Obchodząc po omacku domek, znalazłam drzwi i wpadłam do środka.

Wewnątrz nie było nic ani nikogo. Podłoga, ściany i sufit zrobione były z drewna. Na ziemi, pod starym kocem, znalazłam *kotatsu*; wytrzeszczyłam oczy na widok takiego luksusu i wydałam okrzyk radości i niedowierzania, odkrywając, że piecyk jest rozpalony. Raj.

Kotatsu to więcej niż sposób ogrzewania; to styl życia. W tradycyjnych domach kwadratowy otwór zajmuje obszerny kąt pomieszczenia, pośrodku zaś tego wgłębienia umieszczony jest

metalowy piecyk. Siada się na ziemi z nogami zwieszonymi do wypełnionego gorącym powietrzem zbiornika, który zabezpiecza się ogromnym kocem.

Znałam Japończyków, którzy przeklinali *kotatsu*: „Człowiek spędza całą zimę uwięziony pod tą pelisą, jest niewolnikiem tej dziury i obecności innych, jest skazany na wysłuchiwanie bzdurnego głędzenia staruszków”.

Ja miałam *kotatsu* tylko dla siebie – tylko? Kto palił w tym piecu?

„Wykorzystaj to, że nie ma strażnika, i rozbierz się”, pomyślałam. Ściągnęłam ciuchy przemoczone od potu i śniegu i porozwieszałam je, jak się dało, żeby wyschły. Miałam w plecaku piżamę, którą teraz włożyłam, sama z siebie szydząc: „Piżama? Czemu nie suknia wieczorowa? Lepiej byś zrobiła, zabierając ubranie na zmianę”. Wygodnie usadowiona przy *kotatsu*, zjadłam swój prowiant, wsłuchując się w ryk zamieci na dworze; rozkoszowałam się swoim położeniem.

Chciałam, żeby jak najszybciej pojawił się gospodarz lub gospodyni tego miejsca; on lub ona musieli tu codziennie zaglądać, żeby podłożyć do pieca. Wyobrażałam sobie rozmowę, jaką mogłabym odbyć z tą, siłą rzeczy niezwykłą, osobą.

Nagle konsternacja: siusiu. Powinna być wcześniej o tym pomyśleć. Wygodka to były góry. Wyjście w taką zawieję w piżamie było równoznaczne z utratą jedyne suchego ubrania, a przecież nie założę z powrotem przemoczonych ciuchów. Rozwiązań nie było zbyt wiele; ściągnęłam piżamę, wzięłam głęboki oddech i wypadłam na zewnątrz jak człowiek skaczący w pustkę. Na bosaka w śniegu, przykucnąwszy w najprostszych z możliwych warunkach, z mieszanymi uczuciami grozy i ekstazy, załatwiłam, co trzeba. Wokół panowały ciemności jak oko wykol; nie widać było bieli wirującego śniegu, odbierało się ją innymi zmysłami; biały w dotyku, biały w smaku, pachniał bielą, był bezdźwięczny jak biel. Skostniała z bólu wpadłam z powrotem do schroniska i zanurkowałam pod *kotatsu*, uspokojona, że strażnik nie zaskoczył mnie w tej pozycji. Kiedy ciepło piecyka osuszyło mi skórę, włożyłam z powrotem piżamę.

Położyłam się pod kocem i próbowałam zasnąć. Powoli zaczęło do mnie docierać, że po tym gimnastycznym wypadzie na dwór w żaden sposób nie mogę się rozgrzać. Na próżno owijałam się kocem i przysuwałam jak najbliżej pieca; szczękałam zębami z zimna. Ukąszenie zawiei było tak głębokie, że nijak nie mogłam usunąć z mojego ciała jej lodowatych zębów.

W końcu popełniłam szaleństwo, lecz nie miałam wyboru: między poparzeniem drugiego lub trzeciego stopnia i śmiercią, wybrałam poparzenie. W piżamie, za jedyne okrycie mając poły

koca, owinęłam się wokół piecyka, przywierając ciałem do gorącego metalu. I wtedy dotarła do mnie powaga sytuacji; nie poczułam kompletnie nic. Moja skóra w żaden sposób nie zareagowała na coś, co powinno ją spalić.

A przecież opuszkami palców mogłam stwierdzić, że funkcjonuje właściwie; tylko ostatnie człony moich palców zachowały zakończenia nerwowe. Byłam trupem, w którym życie przetrwało jedynie w opuszkach palców i w mózgu podnoszącym teraz nieskuteczny alarm.

Gdybym chociaż dygotała! Ale moje ciało było do tego stopnia martwe, że odmawiało nawet tej zbawiennej reakcji. Było jak zlodowaciały ołów. Na szczęście cierpiało; doszło do tego, że błogosławiłam ten ból, będący ostatnim dowodem mojej przynależności do świata żywych. Ta męczarnia była podejrzana, bo wypaczała odczucia; piecyk parzył mnie zimnem. Ale lepsze to niż ta straszna i nieuchronna chwila, kiedy przestanę odczuwać w ogóle cokolwiek.

I pomyśleć, że bałam się kociołka Yamamy! Moja niegdysiejsza opiekunka nie doceniła okrucieństwa tej górskiej czarownicy, która zamieniała samotnych wędrowców nie w zupę, tylko w mrożonki – może po to, aby dopiero potem zrobić z nich zupę. Myśl ta sprawiła, że się nagle roześmiałam, a ta reakcja nerwowa pociągnęła za sobą następne. Poczułam nareszcie zbawienny odruch: dreszcze. Moje ciało zaczęło dygotać jak maszyna.

Nie złagodziło to jednak tortury; świadomość, że przeżyję, wydłużyła noc, która trwała dziesięć lat. Postarzałam się o cały wiek; uczepiona piecyka, którego gorąca nie czułam, przez długie godziny siedziałam i nasłuchiwałam.

Nasłuchiwałam najpierw zamieci śnieżnej, która długo wyżywała się na górze, a po odejściu pozostawiła po sobie niepokojąco głęboką ciszę.

Nasłuchiwałam następnie ze zwierzęcą nadzieją nastąpienia cudu, znanego pod nazwą poranka – jakże zwlekał z nadejściem!

Miałam dość czasu, by złożyć sobie w duchu uroczystą przysięgę: „Za każdym razem, kiedy będzie ci dane spać w łóżku, choćby najskromniejszym, błogosław to i płacz z radości!”. Do dziś nigdy jej nie złamałam.

Kiedy tak wypatrywałam pierwszych zwiastunów świtu, wydało mi się, że słyszę jakieś kroki na śniegu; nie miałam odwagi wyściubić nosa zza *kotatsu*, nie mogłam więc sprawdzić, czy te odgłosy są dziełem mojej nadmiernie pobudzonej zimnem wyobraźni, czy czyjejsz rzeczywistej obecności. Bałam się tak okropnie, że zaczęłam się jeszcze gwałtowniej trząść.

Mało prawdopodobne, żeby to było zwierzę; kroki brzmiały jak kroki człowieka. Jeśli ktoś

tam był, musiał teraz kontemplować moje porzucane ubrania i wiedzieć, że siedzę pod *kotatsu*. Mogłam się odezwać, by dać znak, że nie śpię, ale nie znajdowałam odpowiednich słów; przerażenie paraliżowało moje władze fizyczne i umysłowe.

Odgłos ucichł, a może nigdy nie istniał. Nagle wstrzymałam oddech, bo na zewnątrz usłyszałam to pogłębienie ciszy, to święte tchnienie wszechświata sygnalizujące świt.

Bez chwili wahania wyskoczyłam spod *kotatsu*; nie było nikogo ani niczych śladów. Czekala mnie jednak przykra niespodzianka; ubrania, które rozwiesiłam, zamrzły. To wiele mówi o temperaturze wewnątrz schroniska. Wepchnęłam nogi w nogawki spodni jak człowiek torujący sobie drogę przez lód. Najgorszy był moment zetknięcia pleców z oszronionym T-shirtem. Na szczęście nie miałam czasu na analizowanie własnych doznań. Wyjście stąd było sprawą życia lub śmierci; musiałam wypędzić z siebie ten ziąb, który mnie coraz głębiej przenikał.

Nigdy nie zdołam opisać wstrząsu, jaki przeżyłam, otworzywszy drzwi; to było jak uniesienie płyty własnego grobowca i natknięcie się na tajemnicę. Przez kilka chwil stałam jak skamieniała w obliczu tego nieznanego świata: zamieć, która go wczoraj przede mną ukryła, teraz cały przysypała metrami dziewiczej bieli. Moje ucho dobrze wychwyciło; ze świtu opornie wykluwał się dzień. Nawet cienia wiatru, żadnego krzyku drapieżnego ptaka, nic, tylko lodowcowa cisza. Żadnego śladu kroków na śniegu; mój nocny gość, o ile w ogóle istniał, mógł być tylko Yamambą, która przyszła sprawdzić, czy jej pułapka na samotnych wędrowców zadziałała jak trzeba, oraz ocenić na podstawie rozwieszonych ubrań rodzaj zwierzyny. Byłam jej winna wdzięczność; bez *kotatsu* bym nie przeżyła. Ale jeśli chciałam dłużej pożyć, nie powinnam zwlekać; było dziesięć po piątej.

Zanurkowałam w pejzaż. O cudzie biegu! Przestrzeń wyzwala ze wszystkiego. Nie ma takiej udręki, która by przeszkodziła człowiekowi rozprzestrzeniać się we wszechświecie. Czyż świat byłby tak wielki bez powodu? Język mówi prawdę: umknąć znaczy uratować się. Jeśli umierasz, wyjedź. Jeśli cierpisz, rusz się. Inne prawo niż prawo ruchu nie istnieje.

Noc uwięziła mnie u Yamamby, światło dnia, zwracając mi geografę, wypuściło mnie na wolność. Nie posiadałam się z radości: o nie, Yamamba, nie ma we mnie zadatku na zupę, jestem żywa, wynoszę się, nigdy się nie dowiesz, jaka jestem niesmaczna. Moja bezsenność była biała jak śnieg dookoła, lecz czuję w sobie niewiarygodną energię żywego człowieka i biegnę przez góry zbyt piękne, żeby zgodzić się w nich umrzeć. Za każdym razem, gdy docieram do szczytu

kolejnego stoku, odkrywam świat bajeczny i dziewiczy, że aż strach.

Tak, strach. Przez ten czas, od kiedy uciekam, powinnam już rozpoznać widoki oglądane wczoraj. Tymczasem nic z tego. Czyżby zamieć do tego stopnia przeobraziła wszechświat? Sięgnęłam po mapę i odnalazłam punkt orientacyjny: górę Fudzi. Jest daleko, ale kiedy tylko się ukáže, będę wiedziała, że to właściwy kierunek. A na razie znalazłam wreszcie w Japonii miejsce, z którego jej nie widać: to, w którym się znajduję. Biegnijmy gdzie indziej.

Gubię się. Błądzenie mnie odurza, biegnę jeszcze szybciej. Yamamba, tu cię mam, żadna jeszcze istota ludzka nie zapuściła się tu, gdzie ja teraz. Udaję zucha, żeby ukryć przerażenie. Tej nocy wymknęłam się śmierci, która teraz mnie dopada. Napisane stoi, że wyzionę ducha w wieku dwudziestu dwóch lat w japońskich górach. Czy znajdą moje zwłoki?

Nie chcę umierać, biegnę. Jak można tak długo biec? Dziesiąta rano. Niebo jest nieskazitelnie niebieskie, nawet cienia chmury. W taki piękny dzień nie warto umierać. Zaratustra mnie ocali. Moje nogi są takie długie, pochłoną kolejne szczyty, nie macie pojęcia o ich apetycie.

Ale biegnę i nic nie znajduję. Za każdym razem, kiedy docieram na szczyt stoku, modłę się, żeby ujrzeć górę Fudzi, wzywam ją, jak przyzywa się najlepszego przyjaciela, pamiętasz, stary druhu, spalam nad brzegiem twojego krateru, krzyczałam, witając wschód słońca, jestem twoim bliskim, błagam, przyznaj, że należę do twoich bliskich, czekaj na mnie na szczycie tego zbocza, wyrzeknę się wszystkich bogów, by wierzyć tylko w ciebie, bądź tam, zgubiłam się, wystarczy, że się pojawisz, i jestem uratowana, wchodzę na wierzchołek, ciebie nie ma.

Moja energia jest teraz energią rozpacz, wciąż biegnę. Zbliży się południe. To już siedem godzin, jak tak błędę i pogarszam swoją sytuację. Moja maszyna obraca się na pustym biegu, przyjdzie noc i utopi mnie w czarnym śniegu. To już koniec mojego biegu przez ziemię. Nie chcę w to uwierzyć. Zaratustra nie może umrzeć, czegoś takiego jeszcze nie było.

Kolejny stok. Już nie wierzę, mimo to się wspinam. Nie mam nic do stracenia, bo już jestem stracona. Wspinają się moje nogi, którym nie starcza sił, by odczuwać głód. Każdy krok mnóstwo kosztuje. Oto linia szczytu i, jak nic, nowa porażka. Ostatnie metry pokonuję biegiem.

I oto przede mną góra Fudzi. Padam na kolana. Nikt nie wie, jaka jest wielka. Znalazłam miejsce, z którego widać ją w całej okazałości. Krzyczę, płaczę, jakże jesteś ogromna, ty, która zwiastujesz mi życie! Jakże jesteś piękna!

Ocalenie poraża mi wnętrze, spuszczam spodnie i wypróżniam się. Goro Fudzi,

zostawiam tu wiekopomne świadectwo na dowód, że nie masz do czynienia z obojętną. Śmieję się ze szczęścia.

Punkt dwunasta. Patrzę na linię grzbietu, teraz pozostaje mi tylko wzdłuż niego podążyć, wzrokiem oceniam, że czeka mnie sześć godzin marszu do doliny. Drobiazg, kiedy człowiek wie, że będzie żył.

Biegnę wzdłuż linii wierzchołka. Przez sześć godzin słońca i błękitu nieba będę miała górę Fudzi tylko dla siebie. Tych sześć godzin nie zdoła pomieścić mojego zachwytu. Uniesienie jest moim paliwem; nie ma lepszego. Nigdy jeszcze Zaratustra nie biegł tak szybko i w takim upojeniu. Zwracam się do Fudzi po imieniu, tańczę na szczycie. Jest bosko, chciałabym, żeby się nigdy nie skończyło.

To sześć najpiękniejszych godzin mojego życia. Maszeruję, niesiona własną radością. Wiem, dlaczego muzyka triumfalna nazywana jest marszem. Góra Fudzi wypełnia sobą niebo, wystarczy jej dla wszystkich, ale ja mam ją w całości tylko dla siebie, nieobecni głosu nie mają. Nikt nie wie tak dobrze jak ja, jak wielka i wspaniała jest Fudzi, co nie przeszkadza jej być najmiłym towarzyszem drogi. Jest moim najlepszym przyjacielem. Zaratustra zna swoją wartość, ma o sobie wysokie mniemanie.

Oto dolina i schyłek dnia. Powrót nastąpił moim zdaniem zbyt szybko. Składam głęboki pokłon mojemu najlepszemu przyjacielowi i zbiegam do doliny, z której jej nie widać. Już teraz mi jej brakuje. Pędzę z szybkością gasnącego światła. Nigdzie nie napotkałam żadnego z wczorajszych widoków. Musiałam piekielnie pobłądzić. Docieram do wioski jednocześnie ze zmierzchem.

Wracam pociągiem do Tokio. Olśniona przyglądam się otaczającym mnie ludziom. Nie wyglądają na zaszokowanych moim wyglądem. Z czego wnioskuję, że nie widać na mojej twarzy przeżytej epopei. Na dworcu wsiałam do metra. Jest dwudziesta druga, niedzielny wieczór, świat wygląda nieprawdopodobnie zwyczajnie. A ja w każdym znaczeniu tego słowa nie mogę dojść do siebie.

Wysiadam na mojej stacji. U mnie w mieszkaniu jest ogrzewanie, łóżko i wanna: jestem szczęśliwsza od Sardanapala. Dzwoni nieustannie telefon. W słuchawce odzywa się ktoś żywy.

– Kim pan jest? – pytam.

– Ależ, Amélie, to ja, Rinri. To już nie poznajesz mojego głosu?

Nie mam odwagi odpowiedzieć, że zapomniałam, że w ogóle istnieje.

– Tak późno wracasz, niepokoiłem się.

– Później ci opowiem. Jestem za bardzo zmęczona.

W czasie, kiedy napełnia się wanna, oglądam się w lustrze. Od stóp do głów jestem ciemnoszara. Ani śladu oparzenia od piecyka. Ciało to niesamowity wynalazek. Wchodzę do gorącej kąpieli i nagle mój organizm wypluwa całe nagromadzone w nim zimno. Płacę z błogości i z rozpacz. Ci, którzy ocaleli, wiedzą, że inni ich nigdy nie zrozumieją. Mój przypadek jest jeszcze poważniejszy: ja ocalałam z czegoś, co było zbyt piękne, zbyt wielkie. Chciałabym, żeby ludzie wiedzieli o tej wspaniałości. Już wiem, że nie zdołam im tego wytłumaczyć.

Kładę się i wydaję okrzyk: to łóżko jest pułapką. Tyle wygody wywołuje we mnie szok. Myślę o biedaczce zwiniętej wokół pieca; historycznie i geograficznie oddziela mnie od niej rzut kamieniem. Odtąd do licznych innych istot, które we mnie mieszkają, dołączy biedaczka z gór. A także Zaratustra tańczący z górą Fudzi na szczycie. Będę zawsze nimi wszystkimi plus tą, którą jestem.

Moje różne tożsamości od dawna, może nawet nigdy, nie spały. Morzy mnie sen, który je we mnie jednoczy.

Najgorsze po przeżyciu podobnej przygody jest to, że życie dalej trwa. Następnego dnia na wykładach chciałam o tym opowiedzieć. Ale studenci mieli to w nosie, myśleli tylko o zbliżających się wakacjach; jeszcze tylko tydzień i jadą na Hawaje.

Przy bramie czekał na mnie biały mercedes.

– Gdybyś wiedział, co mi się przydarzyło!

– Skoczmy na chiński makaron? Padam z głodu.

Nad miską z makaronem próbowałam rozpaczliwie opowiedzieć o ośnieżonym bambusowym lesie, o zamieci, o nocy u Yamamby, o godzinach, kiedy błądząc, biegłam przez góry, o spotkaniu twarzą w twarz z górą Fudzi – w tym momencie Rinri wybuchnął śmiechem, bo wyciągnęłam na całą szerokość ramiona, chcąc mu unaocznić ogrom wulkanu. Opowiadanie o czymś wzniosłym jest z przyczyn technicznych niemożliwe. Albo się jest nudnym, albo komicznym.

Rinri ujął mnie za rękę.

– Spędzisz ze mną święta? – zapytał.

– Zgoda.

– W dniach od dwudziestego trzeciego do dwudziestego szóstego zabieram cię w podróż.

– Dokąd pojedziemy?

– Zobaczysz. Zabierz ciepłe rzeczy. Nie bój się, nie jedziemy w góry.

– Obchodzisz święta?

– Nie. Ale teraz tak, bo będę z tobą.

Ostatni tydzień wykładów. Niedługo przestanę należeć do studenckiej braci. Zdałam testy. Na początku przyszłego roku miałam rozpocząć pracę w jednej z największych japońskich firm. Przyszłość zapowiadała się nieźle.

Kanadyjska studentka zapytała mnie, czy wyjdę za mąż za Rinriego.

– Nie mam pojęcia.

– Uważaj. Z takich związków rodzą się okropne dzieci.

– Co ty opowiadasz? Eurazjaci są fantastyczni.

– Ale wredni. Mam przyjaciółkę, która wyszła za mąż za Japończyka. Mają dwoje dzieci, cztery i sześć lat. Mówią na swoją matkę siusiu, a na ojca kupka.

Roześmiałam się.

- Może mają swoje powody – powiedziałam.
- Jak możesz się z tego śmiać? A gdyby tobie się to przydarzyło?
- Nie zamierzam mieć dzieci.
- Ach tak. Dlaczego? To nie jest normalne.

Odeszłam, nucąc w duchu piosenkę Brassensa: „Nie, zacni ludzie nie lubią, by podążać inną drogą niż oni”.

Rankiem dwudziestego trzeciego grudnia biały mercedes czekał na mnie pod ołowianym niebem. Droga była długa, brzydka i przygnębiająca, bo Japonia jest także zwykłym krajem.

- Wiem, że zobaczę, ale dokąd jedziemy?
- Niezależnie od tego, co zapowiada krajobraz, nie będziesz rozczarowana.

„Jak długą przebył drogę od tego jkk!”, pomyślałam. Najwyraźniej nie będzie dobrego romanisty bez stłuczenia jajek.

Nagle morze.

- Japońskie morze – obwieścił uroczyście Rinri.
- Już się z nim zetknęłam, kiedy byłam dzieckiem, w Tottori. Mało się nie utopiłam.
- Ale żyjesz – powiedział chłopak, by usprawiedliwić święte morze.

Zaparkował samochód w porcie Niigata.

- Popłyniemy statkiem na wyspę Sado.

Podskoczyłam z radości. Od zawsze marzyłam o zobaczeniu tej wyspy słynącej z urody i z dzikości. Rinri wyjął z bagażnika walizkę wielką jak kufer. Droga na wyspę wydała mi się lodowata i nieskończenie długa.

- Japońskie morze to męskie morze – powiedział Rinri.

Była to wypowiedź, którą już wielokrotnie słyszałam z ust Japończyków i której nigdy nie komentowałam, w tak głębokie wprawiała mnie zakłopotanie. Moja prymitywna wyobraźnia wypatrywała śladów zarostu na grzbietach fal.

Statek wysadził nas na wyspie, której skromna przystań bardzo się różniła od portu w Niigacie. Samochód pamiętający lata sześćdziesiąte dowiózł nas do starej, obszernej gospody, o pół godziny drogi od wybrzeża. Ryokan położony był pośrodku wyspy; morze bardziej się słyszało, niż widziało. Wszędzie wokół niemal dziewicza przyroda.

Zaczął padać śnieg. Zachwycona zaproponowałam spacer.

– Jutro – powiedział Rinri. – Jest szesnasta, droga mnie wykończyła.

Pewnie spieszno mu było skorzystać z luksusu hotelu i nie mogłam mu się dziwić. Cudowne tradycyjne pokoje wypełniała woń świeżej *tatami*; w każdym znajdowała się ogromna wanna zen, do której przez bambus nieustannie napływała gorąca woda. Żeby zapobiec jej przelaniu, w surowym kamieniu wanny wydrążono otwór, powyżej którego ideogram płonącego stogu siana oznaczał nicość.

– Bajka! – zawołałam.

Zgodnie z rytuałem namydliliśmy się i opłukali w umywalce, a potem zanurzyliśmy się w tej niesamowitej kąpieli z zamiarem niewychodzenia z niej nigdy.

– Podobno we wspólnej części hotelu mają jeszcze sławniejszy *furo* – powiedział Rinri.

– Nie może być lepszy niż ten w naszym pokoju – odparłam.

– Mylisz się. Jest dziesięć razy większy, zasilany bambusowym wodociągiem i pod gołym niebem.

Ten ostatni argument przeważył. Uparłam się, żebyśmy tam poszli. Nie było w nim nikogo; na szczęście, bo zgodnie z odwiecznym zwyczajem nie obowiązywał w nim rozdział płci.

Gorąca kąpiel nago, w płatkach śniegu; aż krzyczałam z uniesienia. I ta rozkosz, kiedy na głowę spadały lodowate kryształki.

Pół godziny później Rinri wyszedł z *furo* i włożył swoją *yukata*.

– Już? – oburzyłam się.

– Zbyt długie siedzenie jest niezdrowe. Chodź.

– Nie ma mowy. Zostaję.

– Jak chcesz. Ja wracam do pokoju. Nie siedź zbyt długo.

Zachwycona, że mam wolną rękę, pływałam na wznak i tak, żeby całym ciałem doświadczyć tego cudownego momentu zetknięcia skóry z lodowatym żywiołem; rozkosznie było zeszywnieć z zimna na sorbet, zwłaszcza kiedy druga połowa pławiła się w parującej wodzie.

Niestety, moja samotność nie trwała długo; jakiś stary mężczyzna z obsługi hotelowej przyszedł zamieść brzegi basenu; ukryłam swoją nagość pod wodą, mącąc ją uderzeniami rąk i nóg, żeby mnie okryła jak ubranie.

Mały chudy osiemdziesięciolatek wyglądał na człowieka, który spędził na wyspie całe życie. Miotłą z gałązek zamiatał starannie obrzeża zbiornika. Uspokoiła mnie jego niewzruszona twarz. Ale kiedy już wszystko zamiótł, zaczął od początku. Swoją drogą, czy to nie podejrzane, że

czekał z tą pracą, aż odejdzie Rinri?

Zauważyłam, że staruszek strzepuje płatki śniegu osiadające stopniowo wokół *furo*. Tymczasem na pewno padać będzie długo; nie wyjdziemy z zajazdu. W rzeczywistości nie mogłam wyjść nawet z wody, dopóki tu był; między momentem wyskoczenia z wody a złapaniem *yukata*, przez chwilę będę nieodwracalnie naga.

Pewnie, że nic nie ryzykowałam. Sędziwy wyspiarz musiał ważyć, z ubraniem włącznie, ze czterdzieści pięć kilo, a wiek czynił go jeszcze mniej niebezpiecznym. Niemniej sytuacja była nieprzyjemna. Ramiona i nogi opadały mi z sił. Ich aktywność pozostawiała wiele do życzenia i nie – przejrzystość wody nie była już taka pewna. Dziadek, z tą swoją miną jakby nigdy nic, musiał uważać widowisko za niezwykle interesujące.

Postanowiłam utrzcć mu nosa, udzielając nagany. Ruchem podbródka wskazałam jego miotłę i rzuciłam sucho:

– Iranail Co w potocznym języku znaczyło: „Nie jest to konieczne!”.

Odparł, że nie rozumie po angielsku. Jego odpowiedź dowodziła złej woli; nie miałam już żadnych wątpliwości, że jest zbrojcem.

Ale najgorsze dopiero mnie czekało; nadeszło, kiedy poczułam pierwsze oznaki zbliżającego się omdlenia. Rinri miał rację, nie powinno się zbyt długo siedzieć w tej gorącej marynacie. Nawet nie zauważyłam, kiedy moje siły stopniały. Już widziałam, jak mdleję w *furo*, a staruszek pod pretekstem ratowania będzie mógł ze mną zrobić wszystko, co mu się spodoba. Panika.

Co więcej, chwila poprzedzająca utratę przytomności jest okropna. Człowiek czuje się, jakby dziesięć milionów mrówek zaatakowało go od wewnątrz ciała, wywołując mdłości. Towarzyszy temu niewyobrażalna słabość. Amélie, wyskakuj z tej wanny, póki jeszcze możesz, czyli natychmiast. Zobaczycie cię gołą, trudno, może być znacznie gorzej.

Stary zamiatacz ujrzał wytryskującą z *furo* białą trąbę wodną, która porwała *yukata*, owinęła się w nią i pędem uciekła. Galopowałam do samego pokoju; Rinri zobaczył, jak wpadam do środka i zwałam się na futon. Pamiętam, że w chwili, gdy udzielałam sobie zgody na zemdlenie, odruchowo zerknęłam na zegarek; była osiemnasta czterdzieści sześć. Po czym spadłam w studnię bez dna.

Podróżowałam. Odwiedziłam dwór w Kyoto w XVII wieku. Wzgórza okrywał pochód arystokratów obojga płci, odzianych w przepyszne fioletowe kimona. Wśród nich wyróżniała się dama z rękawami kurtyzany, być może pani Murasa – ki, która akompaniując sobie na *koto*,

śpiewała odę ku czci nocy w Nagasaki, zapewne z powodu bogactwa rymów.

Zajęcia te rozciągały się przez wiele dziesięcioleci. Zdążyłam się zadomowić w tej japońskiej przeszłości, w której wykonywałam budzącą zazdrość profesję osoby kosztującej sake. Podczaszy w Kyoto to pozycja, której nie zamierzałam stracić, kiedy brutalnie wezwała mnie z powrotem rzeczywistość 23 grudnia 1989 roku. Zegarek wskazywał dziewiętnastą dziesiątą. Jak mogłam to wszystko przeżyć w ciągu dwudziestu czterech minut?

Rinri uszanował moje omdlenie. Siedząc obok, zapytał, co się stało. Opowiedziałam mu o siedemnastym wieku; wysłuchał mnie uprzejmie, po czym powiedział: – Tak, ale wcześniej?

Przypomniałam sobie i tonem mniej już poetyckim opowiedziałam mu o zboczonym staruszku, który pod pretekstem zamiatania przyszedł podglądać gołą białą kobietę.

Rinri zaklaskał w dłonie i się roześmiał:

– Kapitalna historia! Będziesz mi ją musiała często opowiadać.

Zbiła mnie z tropu ta reakcja. Liczyłam na odrobinę oburzenia, a spotkało mnie rozczarowanie. Zachwycony Rinri jął odgrywać scenę; zgięty wpół jak stary dziadek z wyimaginowaną miotłą podchodził, zerkając spode łba w kierunku wanny; następnie udawał mnie gestykulującą i mówiącą *Iranai*, a potem drżącym głosem odpowiadał, że nie rozumie po angielsku, a wszystko tonem wygłupu.

Przerwałam mu, oświadczając:

– Wyspa zasługuje na swoją nazwę.

Czym tylko wzmogłam jego wesołość. Ta gra słów po japońsku wypadła jeszcze lepiej, bo nazwisko Boskiego Markiza w tym języku wymawia się Sado.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Gotowa na ucztę? – spytał Rinri.

Drzwi rozsunęły się i dwie uroczę prowincjuszki wniosły niskie stoliki, które zastawiły różnymi wybornymi daniami.

Na widok tej *kaiseki* całkowicie zapomniałam o niecnym staruszku i z apetytem zabrałam się do jedzenia. Podano nam wiele różnych sake; uznałam, że mój sen podczas omdlenia miał charakter proroczy, i z ciekawością czekałam na ciąg dalszy.

Rankiem następnego dnia całą wyspę Sado pokrywał śnieg.

Rinri zaprowadził mnie na brzeg wysunięty najbardziej na północ.

– Widzisz, o tam? – zapytał, wskazując morski horyzont. – Prawie widać Władywostok.

Podziwiałam jego wyobraźnię. Ale miał rację: jedyną ziemią, jaka mogła leżeć za tymi rakowatymi chmurami, była Syberia.

– Obejdziemy całą wyspę na piechotę? – zaproponowałam.

– Nie wiesz, co mówisz: trwałoby to bardzo długo.

– Chodźmy, tak rzadko widuje się wybrzeże pod śniegiem.

– Nie w Japonii.

Po czterech godzinach marszu w wietrze od morza przypominającym pływającą krę, oświadczyłam, że rezygnuję.

– Dobrze się składa – powiedział Rinri. – Bo obejście wkoło wyspy zajęłoby nam jeszcze z dziesięć godzin, nie licząc powrotu do hotelu, który leży w jej centrum.

– Proponuję, żebyśmy poszli jak najkrótszą drogą – wymamrotałam sinymi ustami.

– W takim razie za dwie godziny będziemy z powrotem w naszym pokoju.

Środek wyspy okazał się nieskończenie piękniejszy i bardziej zaskakujący niż wybrzeże. Największą atrakcją stanowiły rozległe sady ośnieżonych drzew kaki; skutkiem jakiegoś dziwactwa przyrody drzewa kaki, które jak wszystkie inne drzewa owocowe tracą zimą liście, nie tracą owoców, nawet kiedy te są już przejrzałe. W skrajnych przypadkach na żywych drzewach wiszą martwe owoce, przywodząc na myśl zdjęcie z krzyża. Ale nie pora była rozmyślać o śmierci i trafiły mi się zupełnie niesamowite drzewka bożonarodzeniowe: ciemne i ogołoczone z liści drzewa kaki, obwieszane dojrzałymi owocami, na których son pomarańczowej powierzchni śnieg tworzył świetlistą koronę.

Wystarczyłoby jedno tak udekorowane drzewko, żeby wprawić mnie w uniesienie. Tymczasem ujrzałam całe ich zastępy, zastygłe pośród pustych łąk; zakręciło mi się w głowie tyleż z zachwyty, ile z pożądania, bo dojrzałe kaki należą do moich przysmaków. Niestety, na próżno podskakiwałam, żadnego nie mogłam dosięgnąć.

„Baśniowe widowisko dla oczu – pomyślałam. – Nie musi się od razu wszystkiego chcieć zjeść”. Ten ostatni argument do mnie nie przemówił.

– Chodź – powiedział Rinri. – Zamarzniemy z zimna.

W hotelu zniknął. Wzięłam szybką kąpiel i padłam na futon. Spałam i nie widziałam, kiedy wrócił. Kiedy mnie obudził, była dziewiętnasta. Tylko patrzeć, jak panie dostarczą nam ucztę.

W trakcie jej trwania doszło do pewnego incydentu. Przyniosły małe żywe ośmiorniczki.

Miałam już za sobą to niemiłe doświadczenie i znałam zasadę, która nakazywała spożywać ryby czy owoce morza od razu po tym, jak zostały na oczach biesiadnika uśmiercone, co gwarantowało ich świeżość. Nie zliczę tych razy, kiedy wkładałam do ust jeszcze drgający filet z dorady, a uszczęśliwiony restaurator patrzył na mnie i mówił: „Żywe, prawda? Czuje pani ten smak życia?”. Nigdy nie uważałam, żeby ów smak wart był tak barbarzyńskich praktyk.

Na widok ośmiorniczek zrobiło mi się podwójnie przykro: po pierwsze, bo trudno o coś bardziej uroczonego nad te stworzonka z mackami, a po drugie, bo nigdy nie przepadałam za surową ośmiorniczką. Ale niegrzecznością byłoby odmówić zjedzenia dania.

W momencie uśmiercania odwróciłam wzrok. Jedna z dam pierwszą ofiarę położyła na moim talerzu. Widok drobnej i ślicznej jak tulipan ośmiorniczki ścisnął mnie za serce. „Szybko przeżuj, połknij, a potem powiesz, że nie jesteś już głodna”, pomyślałam.

Włożyłam ją do ust i kiedy próbowałam wbić w nią zęby, zdarzyło się coś strasznego: wciąż żywe nerwy ośmiornicy nakazały jej opór i żądny zemsty trup schwycił mnie wszystkimi mackami za język. I nie puszczał. Wrzasnęłam tak, jak można wrzasnąć z językiem połkniętym przez ośmiornicę. Pociągnęłam za nią, żeby pokazać, co się stało; damy wybuchnęły śmiechem. Próbowałam oderwać stwora rękami, nie dało się, przyssawki niesamowicie mocno trzymały. Tylko patrzeć, jak wyrwę sobie język.

Rinri, zdjęty grozą, wpatrywał się we mnie bez ruchu. Czulałam, że przynajmniej ktoś mnie rozumie. Zajęczałam przez nos, mając nadzieję, że damy przestaną się śmiać. Jedna z nich chyba uznała, że dość już tych żartów, bo podeszła i przyłożyła pałeczkę w takie miejsce napastnika, że ten natychmiast rozluźnił uścisk. Skoro to było takie proste, to czemu mnie szybciej nie uratowała? Wpatrywałam się w wyplutą ośmiornicę na swoim talerzu, myśląc, że ta wyspa zdecydowanie zasługuje na swoją nazwę.

Kiedy damy posprzątały, Rinri zapytał, czy już ochłonęłam z emocji. Odpowiedziałam ze śmiechem, że to była bardzo dziwna Wigilia.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział.

I przyniósł chustkę z jedwabiu barwy nefrytu, obciążoną czymś dużym w środku.

– Co jest w tej *furoshiki*?

– Zajrzyj.

Rozwiązałam brzegi chustki, uznając za czarujący taki sposób wręczania prezentowi aż zakrzyknęłam: *furoshiki* była pełna kaki, którym zima nadała wygląd ogromnych kamieni

szlachetnych.

– Skąd je masz?

– Wróciłem do sadu, kiedy spałaś, i wszedłem na drzewo.

Rzuciłam mu się na szyję; a ja myślałam, że za jego zniknięciem kryją się mafijne sprawy!

– Zjedz je, proszę.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego tak lubi patrzeć, kiedy jem, ale ochoczo spełniłam prośbę. Pomyśleć, że są tacy, którzy mordują ośmiorniczki, kiedy można zjeść dojrzałe kaki! Ich mięsz, zaostrzony mrozem, smakował jak sorbet z drogich kamieni. Śnieg posiada oszałamiającą moc gastronomiczną; kondensuje soki i wysubtelnia smaki. Działa jak niezwykle delikatne gotowanie.

Wniebowzięta, z oczami zamglonymi z rozkoszy, pochłaniałam jedno kaki po drugim. Przerwałam dopiero wtedy, kiedy skończyła się amunicja. Chustka była pusta.

Rinri przyglądał mi się z zapartym tchem. Zapytałam, czy widowisko mu się spodobało. Uniósł poplamioną *furoshiki* i wręczył mi ukryte pod nią maleńkie etui. Otworzyłam je z obawą, która z miejsca się potwierdziła: platynowy pierścionek z ametystem.

– Twój ojciec przeszedł samego siebie – wyjąkałam.

– Czy chcesz za mnie wyjść?

– Myślisz, że został mi choć jeden wolny palec? – odparłam na to, pokazując dłonie obciążone ojcowskimi dziełami.

Zagłębił się w arytmetykę, tłumacząc, że jeśli przełożę onyks na mały palec, cyrkonię na środkowy, białe złoto na kciuk, a opal na palec wskazujący, zwolni mi się palec serdeczny.

– Pomysłowe – pochwaliłam.

– Rozumiem, nie chcesz – powiedział.

– Tego nie powiedziałam. Jesteśmy tacy młodzi.

– Nie chcesz – powtórzył zimno.

– Przed ślubem istnieje coś takiego jak zaręczyny.

– Przestań rozmawiać ze mną jak z Marsjaninem. Wiem, co to są zaręczyny.

– Nie uważasz, że to ładne słowo?

– Mówisz o zaręczynach dlatego, że to ładne słowo, czy dlatego, że nie chcesz za mnie wyjść?

– Po prostu chciałam, żeby wszystko odbyło się po kolei.

– Dlaczego?

– Bo mam swoje zasady – usłyszałam ze zdumieniem własną odpowiedź.

Japończycy szanują tego typu argumenty.

– Jak długo trwają zaręczyny? – zapytał Rinri tonem osoby dowiadującej się o regulamin.

– To nie jest ściśle ustalone.

Ta odpowiedź chyba mu się nie spodobała.

– W etymologii zaręczyn mieści się słowo wiara – dodałam, broniąc swojego stanowiska – narzeczony obiecuje dochować wiary swojej wybrance. Piękne, prawda? Tymczasem znaczenie słowa ślub jest nieskończenie trywialne podobnie jak biorący od niego nazwę kontrakt ślubny.

– Czyli że nigdy nie będziesz chciała za mnie wyjść – wywnioskował Rinri.

– Tego nie powiedziałam – zaprotestowałam, mając świadomość, że posunęłam się trochę za daleko.

Zapadła pełna skrępowania cisza, którą w końcu przerwałam, mówiąc:

– Przyjmuję twój pierścionek zaręczynowy.

Wtedy wykonał na moich gotyckich palcach zapowiadane operacje i na uwolniony palec serdeczny wsunął uwieczony w platynie ametyst.

– Czy wiesz, że starożytni przypisywali ametystowi właściwości leczące z odurzenia?

– Będę go więc bardzo potrzebował – powiedział Rinri, z powrotem bardzo zakochany.

Kilka godzin później zasnął, a dla mnie rozpoczęła się bezsenna noc. Powracając myślą do oświadczeń Rinriego, miałam wrażenie, że powtarza się chwila, kiedy schwyciły mnie za język macki martwej ośmiornicy. To przykre skojarzenie nie było w żadnym wypadku spowodowane niemal jednoczesnością obu epizodów. Próbowałam pocieszyć się myślą, że udało mi się wyrwać z uścisku przyssawek ośmiornicy oraz oddalić *sine die* niebezpieczeństwo ślubu.

A zresztą była ta historia z kaktusami. Ewie w rajskim ogrodzie nie udało się zerwać upragnionego owocu. Nowy Adam w galanterii swojej dostarczył jej cały ich ładunek i z rozczuleniem patrzył, jak je zjada. Nowa Ewa, egoistyczna w swoim grzechu, nie zaproponowała mu nawet kęsa.

Bardzo mi się spodobał ten *remake*, moim zdaniem bardziej cywilizowany niż klasyczny. Jednak na zakończeniu historii legły cieniem zaręczyny. Dlaczego za przyjemność trzeba zawsze płacić? I dlaczego ceną rozkoszy była nieunikniona utrata pierwotnej bez troski?

W końcu, po długich godzinach roztrząsania tego poważnego tematu, trochę się zdrzemnęłam. Mój sen był do przewidzenia; w kościele ksiądz udzielał mi ślubu z gigantyczną ośmiornicą. Ośmiornica nałożyła mi pierścionek na palec, a ja wsuwałam obrączkę na każdą z jej

macek. Sługa boży powiedział:

– Możesz pocałować oblubienicę.

Ośmiornica wciągnęła mój język w swój otwór gębowy i już go nie wypuściła.

Nazajutrz lokalny autobus zawiózł nas na przystań. Na statku, patrząc na oddalającą się wyspę, Rinri powiedział:

– Żał wyjeżdżać z Sado.

– Tak – przytaknęłam nie do końca szczerze.

Będzie mi brakowało kaki.

Rinri spojrzął na mnie wilgotnymi oczami i wykrzyknął:

– Moja narzeczona z Sado!

Obiecujące.

W Niigata czekał na nas mercedes, którym wróciliśmy do Tokio. Podczas jazdy zadawałam sobie oczywiste pytanie: dlaczego nie powiedziałam nie? Nie chciałam wychodzić za mąż za Rinriego. Zresztą od niepamiętnych czasów sama myśl o małżeństwie była mi niemiła. Co w takim razie nie pozwoliło mi odmówić?

Wy tłumaczenie polegało na tym, że bardzo Rinriego lubiłam. Odmowa byłaby równoznaczna z zerwaniem, a ja nie chciałam z nim zerwać. Tyle przyjaźni, przywiązania i śmiechu łączyło mnie z tym uczuciowym chłopcem. Nie miałam najmniejszej ochoty rezygnować z jego uroczego towarzystwa.

Błogosławiłam tego, kto wymyślił zaręczyny. Życie usłane jest przeżyciami trwałymi jak kamień; mechanika cieczy pozwala mimo to się wśród nich poruszać. Biblia, ten cudowny traktat o moralności na użytek kamieni, skał i menhirów, uczy nas wspaniałych skostniałych zasad, „Czy twoim słowem jest tak? tak, nie? nie. Co do tego dodasz, jest dziełem szatana” – a ci, którzy się ich trzymają, są istotami nienaruszalnymi, a przy tym przez wszystkich poważanymi. Po przeciwnej stronie znajdują się istoty niezdolne do tych spizowych zachowań, takie, które, by podążać naprzód, mogą tylko prześlizgiwać się, przemycać, kluczyć. Kiedy je zapytać, chcą czy nie chcą poślubić tego czy owego, proponują nieokreśloną formę zaślubin – zaręczyny. Kamienni patriarchowie traktują je jak zdrajczynie lub kłamczuchy, gdy tymczasem one są szczerze, szczerze na podobieństwo wody. Skoro jestem wodą, jaki sens ma to, że ci odpowiem: tak, wyjdę za ciebie. Byłoby to kłamstwem. Wody nikt nie zatrzyma. Tak, nawodnię cię, obdarzę cię moim bogactwem, odświeżę, zaspokoję twoje pragnienie, ale skąd mam wiedzieć, jakim korytem popłynie mój nurt, nie wykąpiesz się nigdy po dwakroć w tej samej narzeczonej.

Owe płynne istoty ściągają na siebie pogardę tłumów, gdy tymczasem ich zmienne postawy

pomagają uniknąć tylu konfliktów. Cnotliwe kamienne opoki, którym nikt nie szczędzi pochwał, są przyczyną wszelkich wojen. Oczywiście przy Rinrim nie wchodziła w grę międzynarodowa polityka, musiałam jednak wybierać między dwiema ogromnie ryzykownymi opcjami: jedną było „tak”, którego synonimem są wieczność, pewność, solidność, stabilizacja oraz inne hasła ścinające wodę lodem; drugą było „nie”, oznaczające rozdarcie, rozpacz, a ja wierzyłem, że mnie kochasz, zniknij mi z oczu, a przecież wydawałaś się taka szczęśliwa, kiedy, oraz inne ostateczne słowa, wprawiające wodę w stan wrzenia, są bowiem niesprawiedliwe i barbarzyńskie.

Jaką ulgą było znaleźć rozwiązanie w zaręczynach! Była to odpowiedź płynna w tym sensie, że niczego nie rozstrzygała i odsuwała problem na później. Ale zyskanie na czasie to wielkie osiągnięcie.

W Tokio przezornie nikomu o tych zaręczynach nie wspomniałam.

Na początku stycznia 1990 roku rozpoczęłam pracę w jednej z siedmiu ogromnych japońskich korporacji, które pod sztandarem biznesu dzierżą prawdziwą władzę w Japonii. Jak każdy inny pracownik myślałam, że będę w niej pracować ze czterdzieści lat.

W traktacie o pokorze i uniżeniu opowiedziałam, dlaczego było mi w niej trudno dotrzeć do końca mojego rocznego kontraktu.

Było to krańcowo banalne zstąpienie do piekieł. Mój los nie różnił się aż tak bardzo od losu ogromnej większości japońskich pracowników. Pogarszała go tylko moja pozycja cudzoziemki oraz pewien właściwy mi talent do popełniania nietaktów.

Wieczorami spotykałam się z Rinrim i opowiadałam mu o swoim dniu pracy. A nie było takiego, który by mi nie przyniósł nowej porcji upokorzeń. Rinri słuchał, cierpiąc z powodu wszystkiego, co musiałam znosić, a kiedy kończyłam opowieść, potrząsał głową i prosił o wybaczenie w imieniu swojego narodu.

Zapewniałam, że nie w jego narodzie rzecz. Miałam w tej korporacji wielu cennych sprzymierzeńców. Właściwie moja gehenna była dziełem jednej tylko osoby, jak to często w świecie pracy bywa. Co prawda korzystała ona z cennej protekcji, lecz wystarczyłoby, żeby zmodyfikowała swoją postawę, a mój los całkowicie by się odmienił.

Prowadziłam podwójne życie. Niewolnica za dnia, narzeczona nocą. Mogłabym wyjść na swoje, gdyby noce nie były takie krótkie; spotykałam się z Rinrim dopiero przed dwudziestą drugą, a wstawałam o czwartej rano, żeby pisać. Nie wspominając o tych kilku nocach, które

spędziłam w firmie, ponieważ nie zdążyłam dokończyć pracy.

Weekendy znikwały w przepaści, nie pozostawiając po sobie żadnych wspomnień. Wstawałam późno, wrzucałam brudną bieliznę do pralki, pisałam, wkładałam czystą bieliznę do suszarki. Wyżęta po tych czynnościach, padałam z powrotem na łóżko powalona zmęczeniem z całego tygodnia. Rinri chciał, żebyśmy, tak jak kiedyś, robili różne rzeczy. Nie miałam już na to siły. Mógł najwyżej liczyć na pójście ze mną do kina w sobotni wieczór. A i wtedy zdarzało mi się zasnąć.

Rinri dzielnie znosił swoją wycieńczoną narzeczoną. To ja jej nie znosiłam. W pracy się rozumiałam. Ani trochę nie rozumiałam tej zombi, którą stałam się poza firmą.

Kiedy metro wiozło mnie na miejsce kaźni, rozmyślałam o swoim poprzednim życiu. Oddzielało mnie od niego zaledwie kilka miesięcy. Nie mogłam w to uwierzyć. Co w tym krótkim czasie stało się z Zaratustrą? Czy naprawdę stąpałam nagimi stopami po japońskich szczytach? Czy tańczyłam z górą Fudzi, jak pamiętałam? Czy tak dobrze się bawiłam z tym chłopcem, który teraz oglądał mnie śpiącą?

Gdybym mogła sobie wmówić, że to tylko zła passa! Ale nie, wszystko wskazywało na to, że to zwykły ludzki los, który dzielić będę przez najbliższe czterdzieści lat. Kiedy zwierzałam się Rinriemu, od razu mówił:

– Przestań pracować. Wyjdź za mnie. I skończą się twoje zmartwienia.

Brzmiało to kusząco. Zostawić swoją oprawczynię, korzystać z dobrobytu materialnego, cieszyć się wiecznym nieróbstwem, a wszystko pod jednym warunkiem dzielenia życia z uroczym chłopakiem. Któżby się temu oparł?

Ale ja, nie umiając sobie tego wytłumaczyć, oczekiwałam od życia czegoś innego. Nie wiedziałam, na czym miałyby to polegać, ale byłam pewna, że tego oczekuję. Pożądanie jest tym silniejsze, gwałtowniejsze, im mniej znany jest jego przedmiot.

Uświadomioną częścią tego marzenia było pisanie, które już wtedy tak mnie absorbowало. Oczywiście, nie ludziłam się aż tak, żeby myśleć, iż któregoś dnia coś wydam, tym bardziej nie wyobrażałam sobie, że pisanie mogłoby stać się źródłem utrzymania. Ale niedorzecznie pragnęłam zakosztować tego doświadczenia, choćby po to, by później nie żałować, że nie spróbowałam.

Wcześniej, przed Japonią, nigdy o tym poważnie nie myślałam. Za bardzo się bałam upokorzenia, jakie niechybnie by mnie czekało w postaci odmownych listów od wydawców.

Obecnie, zważywszy, że stanowiło mój chleb powszedni, żadne upokorzenie nie mogło mnie przerazić.

Jednak wszystko to było bardzo niepewne. Głos rozsądku wołał, żebym zgodziła się na ślub: „Nie tylko będziesz bogata, nie pracując, ale też będziesz miała najlepszego z mężów. Nigdy jeszcze nie spotkałaś tak miłego, zabawnego i ciekawego chłopca. Ma wyłącznie zalety. Kocha cię, a i ty zapewne kochasz go bardziej, niż ci się wydaje. Odmowa wyjścia za Rinriego byłaby równoznaczna z samobójstwem”.

Nie mogłam się zdecydować. Słowo „tak” nie przechodziło mi przez usta. Tak samo jak na wyspie Sado, starałam się wybrnąć z sytuacji odwlekaniami.

Prośba powracała często. Odpowiedź była zawsze równie wymijająca. Nic po sobie nie okazując, umierałam ze wstydu. Wydawało mi się, że unieszczęśliwiam wszystkich, z sobą włącznie.

W pracy miałam piekło. Od Rinriego otrzymywałam słodycz, na którą nie zasługiwałam. Niekiedy myślałam, że moja droga krzyżowa w pracy jest sprawiedliwą karą za niewdzięczność w miłości. Japonia za dnia odbierała mi to, co ofiarowała nocą. Ta historia źle się skończy.

Bywało, że z ulgą wychodziłam do pracy. Czasami wołałam otwartą wojnę niż fałszywy pokój. I wołałam się w roli mimowolnej męczennicy niż oprawczyni ze szlachetnych pobudek. Władza zawsze napawała mnie grozą, ale mniej przykre jest znoszenie jej niż narzucanie.

Najgorsze wpadki w życiu są dziełem języka. Któregoś dnia w środku tygodnia, po północy, kiedy zapadałam już w głęboki sen, Rinri po raz dwieście czterdziesty poprosił, żebym za niego wyszła. Zbyt zmęczona, żeby się wymigiwać, odpowiedziałam nie i natychmiast zasnęłam.

Rano, obok moich przyborów do pisania, znalazłam od niego liścik: „Dziękuję, jestem bardzo szczęśliwy”.

Wyciągnęłam z tego wysoce umoralniającą naukę: „Stawiając sprawę jasno, uszczęśliwiłaś drugiego człowieka. Trzeba mieć odwagę powiedzieć nie. To nic miłego pozwolić ludziom karmić się fałszywymi nadziejami. Dwuznaczność jest źródłem cierpienia, itp. ...”

Udałam się do firmy po moją codzienną dawkę upokorzeń. Wieczorem przed wejściem czekał na mnie Rinri.

- Zabieram cię do restauracji.
- Jesteś pewny? Jestem wykończona.

– To nie potrwa długo.

Nad miseczkami z zupą z górskich paproci Rinri oświadczył, że jego rodzice są uszczęśliwieni tą wspaniałą nowiną. Roześmiałam się i powiedziałam:

– To mnie nie dziwi.

– Zwłaszcza mój ojciec.

– To mnie dziwi. Wyobrażałam sobie, że to raczej twoja matka będzie zachwycona.

– Dla matki to trudniejsze, kiedy syn opuszcza dom.

Słowa te uruchomiły w mojej głowie niejasny sygnał alarmowy. Byłam pewna, że wczoraj powiedziałam nie, ale już mniej pewna, jak sformułowane były oświadczenia. Jeśli Rinri zadał pytanie w formie przeczącej, co było powszechne w tym skomplikowanym kraju, to już po mnie. Próbowałam przypomnieć sobie japońskie zasady odpowiedzi na pytania przeczące, które są równie złożone jak zapamiętanie kroków tanga. Ale mój wyczerpany umysł sobie z tym nie radził, więc postanowiłam przeprowadzić eksperyment. Sięgnąwszy po karafkę sake, zapytałam:

– Nie chcesz jeszcze sake?

– Nie – odparł uprzejmie młodzieniec.

Odstawiłam niepotrzebną karafkę. Rinri wyglądał na stropionego, ale nie chcąc mi wydawać poleceń, wziął karafkę i sam się obsłużył.

Ukryłam w dłoniach twarz. Zrozumiałam. Musiał mnie zapytać: „Nadal nie chcesz za mnie wyjść?”. A ja odpowiedziałam w stylu zachodnim. Po północy mam tę irytującą przypadłość, że staję się wyznawczynią Arystotelesa.

To było straszne. Wystarczająco dobrze się znałam, by wiedzieć, że nie zdobędę się na sprostowanie i wyjawienie prawdy. Niezdolna sprawić przykrość komuś miłemu, poświęcę samą siebie, byle go nie rozczarować.

Zastanawiałam się, czy Rinri celowo zadał mi pytanie w formie przeczącej. Sądziłam, że nie. I nie miałam też wątpliwości, że to jego podświadomość podsunęła mu ten makiaweliczny plan.

Zatem z powodu językowego nieporozumienia poślubię uroczego, podświadomie przewrotnego chłopca. Jak wybrnąć z tej pułapki?

– Zawiadomiłem twoich rodziców – dodał. – Aż krzyczeli z radości.

No pewnie. Mój ojciec i matka mieli bzika na punkcie tego chłopaka.

– Czy to nie ja powinnam ich zawiadomić? – zapytałam, zdecydowana zadawać odtąd pytania wyłącznie w formie przeczącej.

Rinri uniknął pułapki.

– Wiem. Ale ty pracujesz, a ja jestem jeszcze studentem. Pomyślałem, że możesz nie mieć czasu. Masz mi to za złe?

– Nie – odpowiedziałam, żałując, że nie zadał pytania w formie przeczącej, co pozwoliłoby mi, pod sztandarem różnic kulturowych, powiedzieć mu, co o tym myślę.

„Zważywszy, jak daleko zabrnęłam!”, stwierdziłam.

– Jaka data by ci odpowiadała? – zapytał.

Tylko tego brakowało.

– Nie decydujemy o wszystkim w tak krótkim czasie – powiedziałam. – Zresztą i tak to niemożliwe, dopóki pracuję w Yumimoto.

– Rozumiem. Kiedy kończy się twój kontrakt?

– Na początku stycznia.

Rinri dojadł zupę i oświadczył:

– Zatem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy. Rok palindromu. Dobry rok na małżeństwo.

Rok 1990 zakończył się w stanie totalnego zamieszania.

Jedno było pewne: rezygnuję z pracy. Korporacja Yumimoto niedługo będzie musiała obyć się bez moich cennych usług.

Ileż bym dała, żeby móc zrezygnować również z małżeństwa. Jak na nieszczęście Rinri rozbrajał mnie coraz bardziej swoją dobrocią.

Którejś nocy usłyszałam wewnętrzny głos, mówiący: „Przypomnij sobie nauczkę z Kumotori Yama. Kiedy Yamamba cię uwięziła, znalazłaś rozwiązanie: ucieczkę. Nie potrafisz ratować się słowem? Ratuj się nogami”.

Gdy w grę wchodzi ucieczka z kraju, nogi przybierają postać samolotu: po kryjomu kupiłam bilet Tokio-Bruksela. W jedną stronę.

– Powrotny wypada taniej – powiedziała sprzedawczyni.

– W jedną stronę – uparłam się.

Wolność jest bezcenna.

Były to czasy, nie tak znów odległe, kiedy nie istniały jeszcze bilety elektroniczne; bilet samolotowy, kartonik w plastikowym etui posiadał namacalną realność w torebce lub w kieszeni, do których, dla pewności, po trzydzięści razy dziennie zaglądała dłoń. Miał tylko jeden minus: w przypadku zgubienia zdobycie duplikatu graniczyło z cudem. Ale nie było obawy, żebym zgubiła ów symbol swojej wolności.

Ponieważ rodzina Rinriego wyjechała do Nagoyi, spędziłam z nim w zamku z betonu trzy noworoczne dni, jedyne, kiedy praca w Japonii jest naprawdę zabroniona. Obejmuje to nawet zakaz gotowania; matka Rinriego napełniła tradycyjne naczynia z laki zimnymi daniami, zwyczajowo przypisanymi do tych trzech dni świętowania – makaronem gryczanym, słodką fasolką, ciasteczkami ryżowymi oraz innymi osobliwościami, przyjemnymi bardziej dla oka niż dla podniebienia.

– Nie czuj się w obowiązku tego jeść – mówił Rinri, który dla siebie bezwstydnie przyrządzał spaghetti.

Nie czułam się w obowiązku; było to niezbyt smaczne, ale fascynował mnie błysk lśniących od cukru ziarenek fasoli, odbijających się w głębokiej czerni laki. Brałam pałeczką jedną po drugiej, trzymając kwadratowe naczynie na wysokości oczu, żeby nie uronić najdrobniejszego

szczególu tego spektaklu.

Dzięki ukrytemu biletowi na samolot były to cudowne dni. Przeglądałam się Rinriemu z życzliwą ciekawością; a więc to jest ten chłopak, z którym byłam szczęśliwa przez całe dwa lata i od którego zamierzałam uciec. Co za dziwna historia, co za absurdalny galimatias – czyż nie miał najpiękniejszego karku, jaki tylko można sobie wyobrazić, najwytworniejszych manier, czyż nie czułam się w jego towarzystwie naprawdę dobrze, zaintrygowana, a zarazem swobodna, co przecież stanowiło ideał wspólnego życia?

Czyż nie pochodził z kraju, który kochałam nad wszystkie inne? Czyż nie był niepowtarzalnym dowodem tego, że uwielbiana wyspa mnie nie odrzuciła? Czyż nie ofiarował mi najprostszego i najbardziej legalnego sposobu uzyskania upragnionego obywatelstwa?

I wreszcie, czyż nie darzyłam go prawdziwym uczuciem? Oczywiście, że tak. Bardzo go lubiłam i było to dla mnie czymś nowym. A jednak właśnie to, że go lubiłam, a nie kochałam, przekonało mnie o pilnej potrzebie ucieczki.

Wystarczyło, że wyobraziłam sobie sytuację, w której drę bilet, a moja czuła przyjaźń dla Rinriego zamieniała się we wrogię przerażenie. I odwrotnie, wystarczyło mi pomacać jego gładki papier w torebce, by poczuć, jak serce wypełnia mi zachwyt i poczucie winy przypominające miłość, którą nie były, na tej samej zasadzie, na jakiej muzyka kościelna wyzwala w duszy poryw przypominający wiarę, którą nie jest.

Czasami Rinri w milczeniu brał mnie w ramiona. Najgorszemu wrogowi nie życzę, by poczuł to, co ja wtedy czułam. Nigdy nawet przez moment Rinri nie zachował się podle, wulgarnie czy małodusznie. Takie chwile bardzo by mi pomogły.

– Naprawdę nie ma w tobie zła – stwierdziłam.

Zdziwiony zamilkł, a potem zapytał, czy to było pytanie. Uznałam tę odpowiedź za budującą.

Trafiłam w sedno; właśnie dlatego, że nie było w nim zła, tak bardzo go lubiłam. I właśnie dlatego, że zło było mu tak obce, nie kochałam go. A przecież zło mi się nie podoba. Jednak danie wyszukane jest tylko wtedy, gdy zawiera odrobinę octu. Dziewiąta symfonia Beethovena byłaby nie do wytrzymania dla ucha, gdyby nie zawierała rozpaczliwych wahań. Jezus nie zainspirowałby tylu ludzi, gdyby nie używał czasami słów tak bliskich nienawiści.

Ta myśl przypomniała mi inną:

– Nadal jesteś samurajem Jezusem?

Rinri odpowiedział mi z cudowną szczerością:

- Ach, prawda. Już o tym nie myślałem.
- Jesteś czy nie jesteś?
- Jestem – odpowiedział takim tonem, jakby oznajmiał, że jest studentem.
- Masz na to dowody?

Wzruszył ramionami w swój zwykły sposób i powiedział:

– Czytam teraz książkę o Ramzesie II. Pasjonuje mnie ta cywilizacja. Mam ochotę zostać Egipcjaninem.

Zrozumiałam, do jakiego stopnia był Japończykiem; była w nim głęboka i szczerą ciekawość wszystkich obcych zjawisk kulturowych. I tak spotyka się Japończyków specjalistów od dwunastowiecznego języka bretońskiego i od motywu tabaki w malarstwie flamandzkim. Myliłam się, doszukując się w kolejnych powołaniach Rinriego identyfikacji; on po prostu interesował się innymi, i tyle.

Dziewiątego stycznia 1991 roku oznajmiłam mojemu narzeczonemu, że następnego dnia lecę do Brukseli. Powiedziałam to tonem tak lekkim, jakbym mówiła, że idę po gazetę.

- Co będziesz robiła w Belgii? – zapytał Rinri.
- Spotkam się z siostrą i ze znajomymi.
- Kiedy wracasz?
- Nie wiem. Niedługo.
- Chcesz, żebym cię odwiózł na lotnisko?
- To miłe z twojej strony, ale poradzę sobie.

Nalegał. Dziesiątego stycznia biały mercedes po raz ostatni czekał na mnie pod domem.

- Jaka ta walizka jest wielka i ciężka! – zdziwił się, wkładając ją do bagażnika.
- Prezenty – powiedziałam.

Przewoziłam wszystkie swoje rzeczy.

W Narita poprosiłam, żeby od razu odjechał.

- Nie znoszę pożegnań na lotniskach.

Pocałował mnie i odszedł. Kiedy tylko zniknął, uścisk w moim gardle zelżał, serce wezbrało i smutek ustąpił miejsca nieopisaną radości.

Śmiałam się. Wymyślałam sobie od najgorszych, obrzucałam się wszelkimi wyzwiskami, na jakie zasłużyłam, co jednak nie przeszkodziło mi śmiać się z ulgą.

Wiedziałam, że powinno mi być smutno, wstyd itp. Ale nie potrafiłam wyrzesać z siebie tych uczuć.

W okienku odprawy poprosiłam o miejsce przy oknie.

Istnieje radość jeszcze większa niż znalezienie się na lotnisku: ta, której się doświadcza, zajmując miejsce w samolocie. Jej kulminacją jest chwila, kiedy siedzi się przy oknie i samolot startuje.

Byłam jednak szczerze zrozpaczona, opuszczając swój ukochany kraj, i to w takich okolicznościach; z czego wniosek, że u mnie strach przed małżeństwem przeważa nad wszystkim. Nie posiadałam się z radości. Skrzydła samolotu były moimi skrzydłami.

Pilot z pewnością umyślnie przeleciał nad górą Fudzi. Jakże była piękna, oglądana z wysoka. W duchu wystąpiłam do niej z tą przemową:

„Kocham cię, stara przyjaciółko. Wyjeżdżając, wcale cię nie zdradzam. Czasami ucieczka bywa aktem miłości. Żeby kochać, muszę być wolna. Wyjeżdżam, by zachować całe piękno uczuć, jakimi cię darzę. Nie zmieniaj się”.

Wkrótce Japonia zniknęła z pola widzenia. I tym razem rozdarcie nie umniejszyło mojego upojenia. Skrzydła samolotu były przedłużeniem mojego ciała, a czyż może być coś lepszego niż posiadanie skrzydeł? Jakie miasto mogłoby swą nazwą równać się z Las Vegas? Jak na ironię było to miasto, w którym najłatwiej było wziąć ślub, gdy tymczasem w Reno równie łatwo dostawało się rozwód.

Odwrotność wydawałaby mi się bardziej uzasadniona: skrzydła służą do tego, żeby uciec.

Podobno ucieczka jest czymś niezbyt chwalebny. Szkoda, bo jest taka przyjemna. Dostarcza najcudowniejszego poczucia wolności, jakie tylko istnieje. Człowiek czuje się bardziej wolny, kiedy ucieka, niż wtedy, kiedy nie ma przed czym uciec. Nogi zbiega są jak w transie, jego skórę przebiega dreszcz, drżą mu nozdrza, rozszerzają się oczy.

Pojęcie wolności jest tematem tak oklepanym, że już przy pierwszych słowach zaczynam ziewać. Ale fizyczny aspekt wolności to co innego. Zawsze powinno się mieć przed czym uciekać, po to, by kultywować tę cudowną możliwość. Zresztą zawsze jest coś, przed czym się ucieka. Choćby przed samym sobą.

Dobrą wiadomością jest to, że można przed sobą uciec. W takim wypadku daje się nogę z tego małego więzienia, jakie stwarza osiadły tryb życia w dowolnym miejscu. Zabiera się swoje manatki i wybywa: własne „ja” jest tak tym zaskoczony, że zapomina o swojej roli strażnika. Można je zmylić, tak jak zbieg myli trop tych, którzy go ścigają.

Za oknem bezkresna, biała zimowa Syberia, więzienie idealne z racji swego ogromu. Ci,

którzy z niej uciekają, umierają zagubieni pośród bezmiaru jej przestrzeni. To paradoks nieskończoności; przecucie wolności, która nie istnieje. Z tak ogromnego więzienia nie wychodzi się nigdy. Łatwo to zrozumieć, gdy się je widzi z samolotu.

Zaratustra we mnie pomyślał, że na piechotę zostawiłabym ślady na śniegu i wysledzono by mnie. Skrzydła to cudowny wynalazek.

Ucieczka jest niezbyt chwalebna? A przecież to lepsze niż dać się złapać. Jedyne dyshonor to nie być wolnym.

Wszyscy pasażerowie otrzymali słuchawki. Przelatuję po różnych programach muzycznych, oczarowana, że niektórzy mogą podróżować przy wtórze takich decybeli. Nagle natrafiam na *Rapsodię węgierską* Liszta, moje najwcześniejsze wspomnienie muzyczne. Mam dwa i pół roku, siedzę w salonie w Shukugawie, mama uroczyście mówi: „To *Rapsodia węgierska*”. Słucham jej jak opowieści. Jest opowieścią. Źli ścigają dobrych, którzy uciekają na koniach. Źli też są jeźdźcami. I teraz kto szybciej będzie galopował. Czasami muzyka mówi, że dobrzy są uratowani, ale to nieprawda, bo źli podstępnie sugerują im, że są już bezpieczni, żeby tym łatwiej ich schwytać. Dobrzy zrozumieli, że to podstęp, ale już za późno, czy uda im się ująć przed niebezpieczeństwem? Galopują do utraty tchu, tworzą jedno ze swoimi wierzchowcami, pęd wyczerpuje ich na równi z ich końmi, jestem po ich stronie, nie wiem, czy jestem dobra, czy zła, ale siłą rzeczy jestem po stronie uciekających, wczuwam się w rolę ściganej zwierzyny, serce wali mi jak szalone, och, przepaść, czy konie zdołają pokonać taką otchłań, muszą, bo jak nie, wpadną w ręce złych, słucham, wytrzeszczając oczy ze strachu, konie skaczą i z wielkim trudem przedostają się na drugi brzeg, uratowani, źli nie skaczą, brak im takiej odwagi, bo przed niczym nie uciekają, pragnienie, żeby schwytać jest mniej gwałtowne niż strach przed byciem schwytanym, oto dlaczego *Rapsodia węgierska* Liszta kończy się triumfem.

Nadaję samolotowi imię Pegaz. Muzyka Liszta tysiącrotnie spotęgowała moją radość. Mam dwadzieścia trzy lata i nie znalazłam jeszcze nic z tego, czego szukałam. Dlatego życie tak mi się podoba. Dobrze jest w wieku dwudziestu trzech lat nie odkryć jeszcze własnej drogi.

Dnia 11 stycznia 1991 roku wylądowałam na lotnisku w Zaventem. Rzuciłam się w ramiona Juliette, która na mnie czekała. A kiedy już do woli nażałyśmy się, naszczeły, naryczały, namuczały, nahukały, naskowyczały i naskomlały, siostra zapytała:

– Już tam nie wrócisz, prawda?

– Zostaję! – oświadczyłam, chcąc skończyć z dwuznacznymi odpowiedziami na pytania

przeczące.

Juliette zawiozła mnie do naszego mieszkania w Brukseli. A więc to była Belgia. Rozczulałam się nad szarym i niskim niebem, nad tym, że wszystko jest blisko, nad staruszkami w paletkach i z siatkami w tramwajach.

– Rinri przyjedzie? – zapytała Juliette.

– Nie sędzę – odparłam wymijająco.

Siostra taktownie nie kontynuowała tematu.

Wróciłyśmy do wspólnego życia jak przed 1989 rokiem.

Dobrze było mieszkać z siostrą. Belgijskie ubezpieczenia socjalne zalegalizowały nasz związek, przydzielając mi najprawdziwszy status gosposi: w moich papierach zapisano: „Gospodyni Juliette Nothomb”. Czegoś takiego nikt by nie wymyślił. Traktowałam swoje zajęcie bardzo poważnie i prałam bieliznę siostry.

Czternastego stycznia 1991 roku zasiadłam do pisania powieści zatytułowanej *Higiena mordercy*. Rano Juliette, wychodząc do pracy, wołała: „Cześć, gosposiu!”. Pisałam bardzo długo, a potem rozwieszałam bieliznę, którą zapomniałam wyjąć z pralki. Wieczorem Juliette wracała i nagradzała swoją gosposię uściskiem.

W Japonii odłożyłam część zarobków i teraz je ściągnęłam. Obliczyłam, że dzięki tym oszczędnościom mogę przeżyć, bardzo skromnie, dwa lata. Jeśli po tych dwóch latach nie znajdę wydawcy, zawsze zdążę znaleźć jakieś rozwiązanie, mówiłam sobie beztrwosko. Kochałam takie życie. Przez kontrast z harówką w japońskiej firmie przypominało idyllę.

Czasami dzwonił telefon. Nie posiadałam się ze zdumienia, słysząc w nim głos Rinriego. Nigdy o nim nie myślałam i nie widziałam żadnego związku między moim życiem w Japonii a moim życiem w Belgii; to, że mogło dojść między nimi do kontaktu telefonicznego, wydawało mi się równie niesamowite, co podróż w czasie. Rinriego dziwiło moje zdumienie.

– Co robisz? – pytał.

– Piszę.

– Wróć. Tutaj będziesz pisała.

– Jestem także gosposią Juliette. Piorę jej rzeczy.

– A jak sobie radziła bez ciebie?

– Źle.

– Zabierz ją z sobą.

– Dobrze. Poślubisz nas obie.

Śmiał się. A przecież nie żartowałam. Tylko pod tym warunkiem mogłabym się zgodzić na to małżeństwo.

Na koniec mówił:

– Mam nadzieję, że się nie zasiedzisz. Tęsknię za tobą.

I odkładał słuchawkę. Nigdy żadnych wyrzutów. Był kochany. Miałam trochę nieczyste sumienie, ale szybko mi przechodziło.

Stopniowo telefon dzwonił coraz rzadziej, aż w końcu całkiem przestał. Został mi oszczędzony ten najbardziej ponury, barbarzyński i kłamliwy epizod zwany zerwaniem. Nie rozumiem dlaczego, z wyjątkiem przypadków haniebnej zbrodni, ludzie z sobą zrywają. Powiedzenie komuś, że to już koniec, jest brzydkie i fałszywe. To się nigdy nie kończy. Nawet kiedy już o kimś nie myślimy, nadal pozostaje w nas obecny. Istota, która się dla nas liczyła, liczyć się będzie zawsze.

W przypadku Rinriego byłoby to z mojej strony szczególnie paskudne: „Zrobiłeś dla mnie tyle dobrego, jesteś pierwszym mężczyzną, z którym byłam szczęśliwa, nie mam ci nic do zarzucenia, zachowałam po tobie wyłącznie piękne wspomnienia, ale nie mam ochoty dłużej z tobą być”. Miałabym do siebie żal, gdybym mu zaserwowała coś tak niegodziwego. To by zbrukało nasz piękny związek.

Jestem Rinriemu wdzięczna za jego klasę; sam zrozumiał przekaz, nie musiałam mu go wyklądać. Tym sposobem dane mi było przeżyć romans doskonały.

Któregoś dnia zadzwonił telefon. Był to Francis Esmenard z wydawnictwa Albin Michel. Oznajmił, że pierwszego września 1992 roku wyda w Paryżu *Higienę mordercy*. Zaczynało się nowe życie.

Na początku 1996 roku zadzwonił z Tokio mój ojciec:

– Dostaliśmy zawiadomienie od Rinriego. Bierze ślub.

– No nie!

– Żeni się z Francuzką.

W grudniu 1996 roku japoński wydawca zaprosił mnie do Tokio z okazji wydania po japońsku *Higieny mordercy*.

W samolocie z Brukseli do Tokio czułam się dziwnie. Minęło prawie sześć lat, odkąd nie widziałam ukochanego kraju, z którego uciekłam. Przez ten czas w moim życiu tak wiele się zdarzyło. 10 stycznia 1991 roku byłam babcią klozetową, która zrezygnowała z pracy. 9 grudnia 1996 byłam pisarką, która odpowiadała na pytania dziennikarzy. W tej sytuacji nie był to już awans społeczny; to i była kradzież tożsamości.

Pilot musiał otrzymać instrukcje: nie przelatywaliśmy nad górą Fudzi. Ledwie poznałam Tokio. Miasto nie zmieniło się wcale, ale przestało być moim terenem doświadczalnym. Służbowy samochód zawoził mnie w miejsca, w których dziennikarze okazywali mi względy i zadawali różne poważne pytania. Odpowiadałam na nie lekkim tonem i było mi głupio, kiedy widziałam, z jakim respektem wszystko notują. Miałam ochotę im powiedzieć: „Ejże, przecież to tylko wygłupy!”.

Wydawca japoński wydał koktajl z okazji pojawienia się książki na rynku. Zjawilo się wielu gości. Trzynastego grudnia 1996 roku ujrzałam w tłumie twarz, której nie widziałam od 9 stycznia 1991. Podbiegałam do niego, wymawiając jego imię. On wymówił moje. I nie wiedziałam, co dalej. Zostawiłam chłopaka ważącego sześćdziesiąt kilo, spotkałam młodego mężczyznę ważącego dziewięćdziesiąt. Uśmiechnął się i powiedział:

– Utyłem, prawda?

– Co się stało?

Ugryzłam się w język, ale już zdążyłam zadać to głupie pytanie. Mógł mi odpowiedzieć: „Odeszłaś”. Był na tyle elegancki, że tego nie zrobił, wruszył tylko ramionami w ten tak charakterystyczny dla siebie sposób.

– Nie zmieniłeś się – powiedziałam z uśmiechem.

– Ty też nie.

Miałam dwadzieścia dziewięć lat, on dwadzieścia osiem.

– Słyszałam, że ożeniłeś się z Francuzką – powiedziałam jeszcze.

Potwierdził i przeprosił, że nie mogła z nim przyjść.

– Jej ojciec jest generałem – dodał.

Roześmiałam się z jego nowej ekstrawagancji.

– Skubany Rinri!

– Skubany ja.

Poprosił o dedykację na egzemplarzu *Higieny mordercy*. Nie mam zielonego pojęcia, co

napisałam.

Na autograf czekali już inni. Trzeba było się pożegnać. I wtedy zdarzyło się coś niesamowitego.

Rinri powiedział:

– Chcę się z tobą po bratersku uściskać jak samuraj z samurajem.

Słowa te podziały na mnie ze straszliwą mocą. Ja, która tak się ucieszyłam na jego widok, poczułam nagle ogarniające mnie nieopisane wzruszenie. Padłam mu w ramiona, żeby ukryć napływające mi do oczu łzy. Uścisnął mnie, ja uścisnęłam jego.

Rinri znalazł właściwe słowa. Znalezienie ich zajęło mu sześć lat, ale nie było za późno. Kiedy mówił mi o miłości, miałam to w nosie, bo nie było to właściwe słowo. Ale teraz powiedział mi właśnie, co z nim przeżyłam, teraz to rozumiałam. A ja, dopiero usłyszawszy właściwe słowo, staję się zdolna do uczuć.

W czasie tego uścisku trwającego dziesięć sekund, poczułam to wszystko, co powinnam była odczuwać przez wszystkie te lata.

I tych siedem lat emocji przeżytych w dziesięć sekund było diabelnie mocnym doznaniem. A więc Rinri i ja to było właśnie to; braterski uścisk samuraja. O ileż piękniejszy i nobliwszy od głupiej historii miłosnej.

Potem każdy z samurajów wypuścił z uścisku drugiego. Rinri taktownie natychmiast odszedł, nie odwracając się.

Uniosłam głowę w górę, żeby łzy z powrotem spłynęły mi do oczu.

Byłam samurajem, który musiał podpisać książkę następnej osobie.